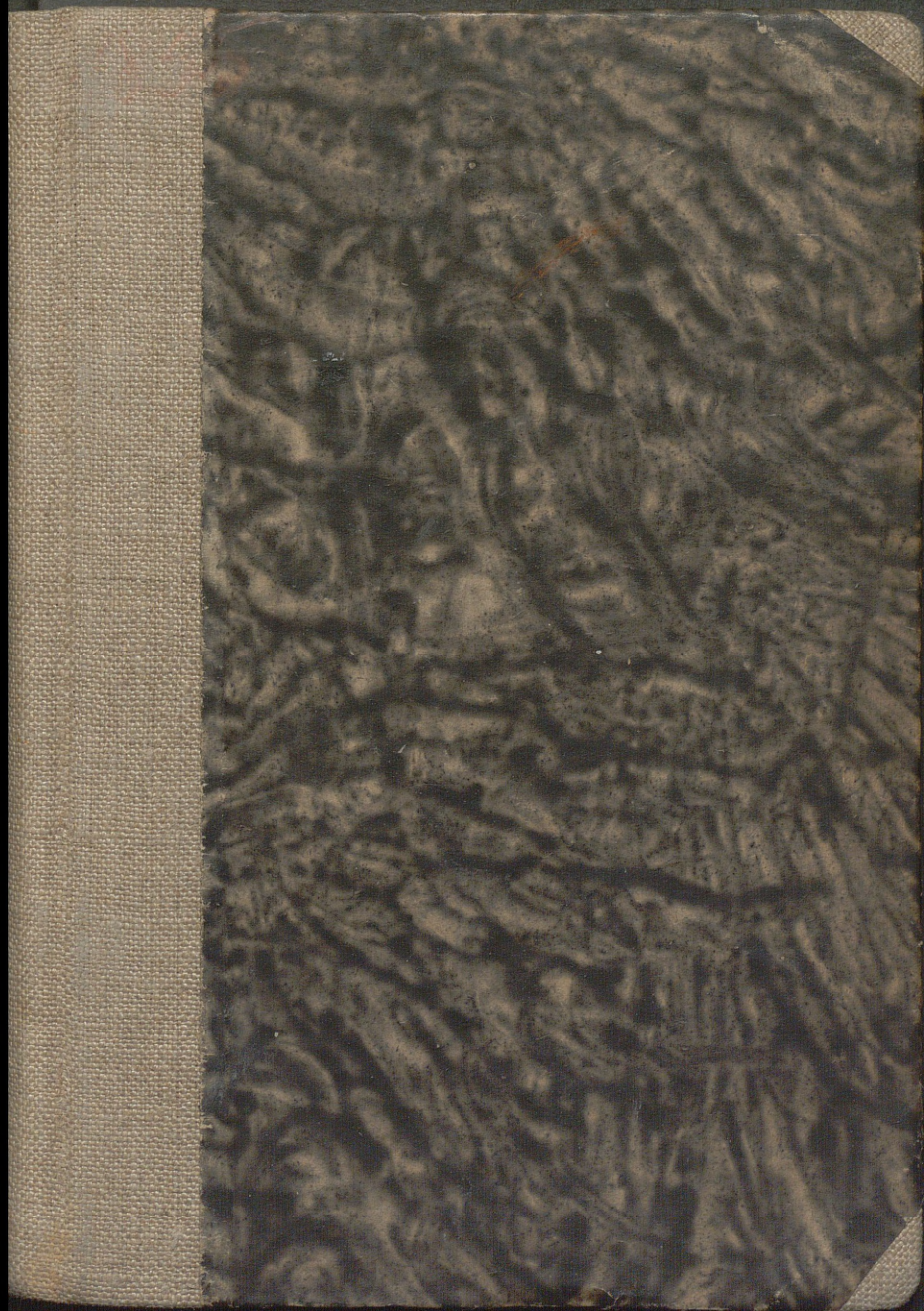
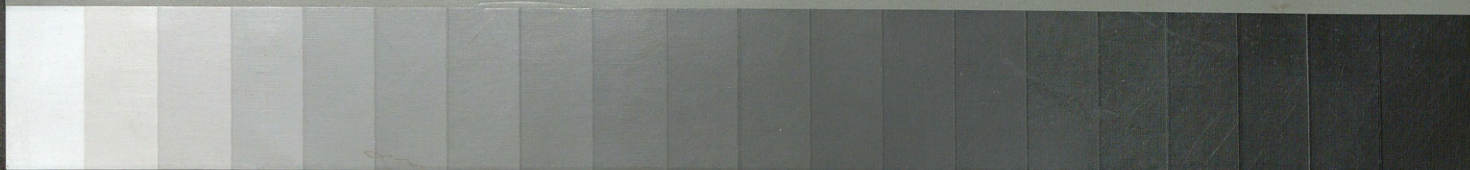


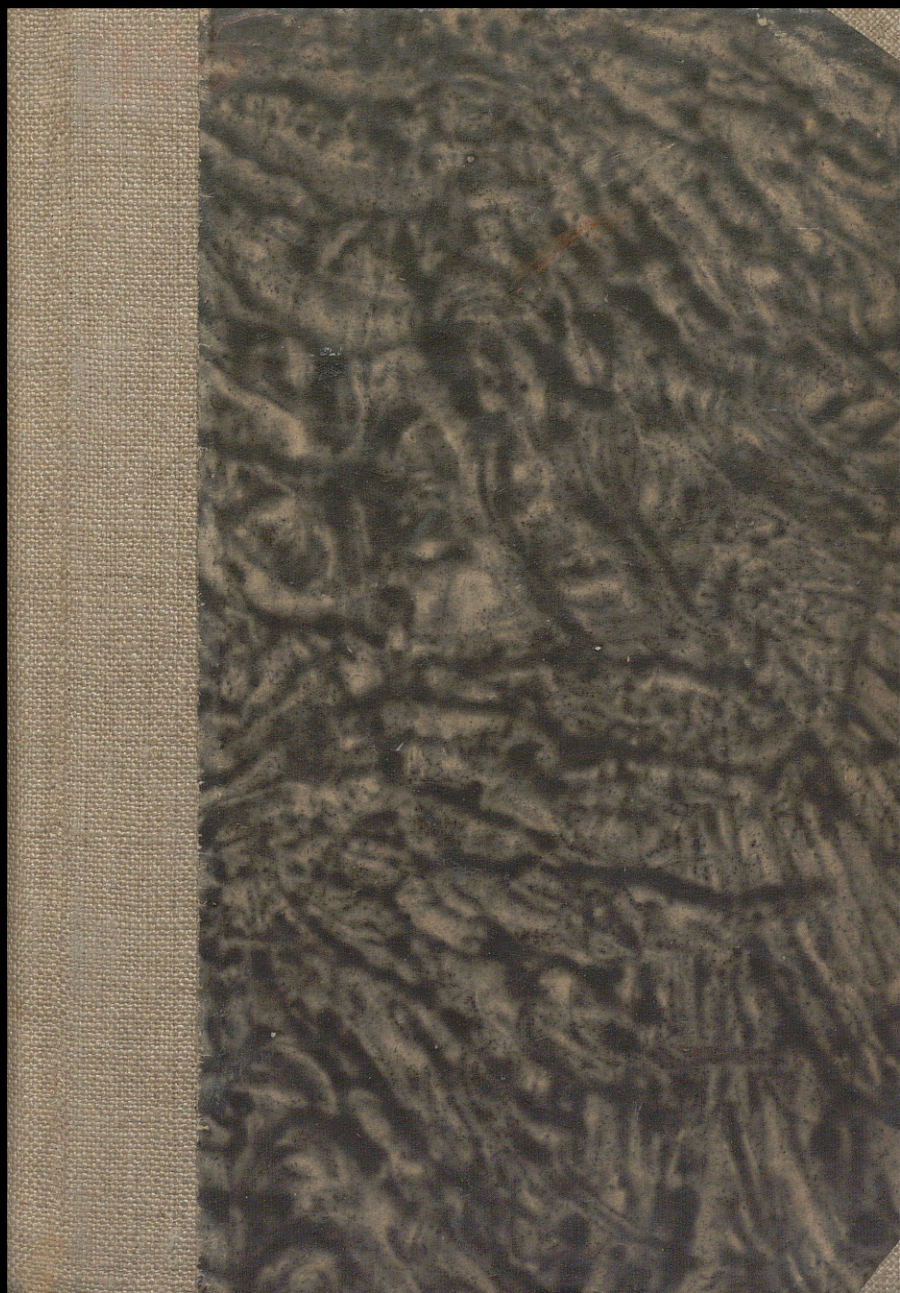


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





W KLIMACIE DYKTATORY

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wych.

THE
LIBRARY
OF THE
MUSEUM OF
ART AND
ARCHAEOLOGY
OF THE
UNIVERSITY OF
CAMBRIDGE

L E O N K R U C Z K O W S K I

W KLIMACIE DYKTATURY

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wyob.

K R A K Ó W 1938

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI
WYDAWNICZEJ „CZYTELNIAK“

884-y :321.6

6049/1

l. inw. 2110.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wyeh.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

I

Nie ulega wątpliwości, że w pewnych środowiskach współczesnego życia polityczno-ideowego bardzo wydatną rolę odgrywa swoista propaganda, którą można by określić mianem demagogii młodzieżowej. Z niej to wywodzi się modny obecnie frazes „dynamizmu“, ona to, operując hasłami przeróżnych „buntów młodych“, próbuje narzucić społeczeństwu — w miejsce istotnych, nurtujących je zmagają i konfliktów — najdonioślejszy jakoby ze wszystkich rzekomy „konflikt pokoleń“. Przeciwwstawienie: „młodzi“ — „starzy“ stało się od samego urodzenia ruchów faszystowskich ulubioną tych ruchów formułą ideologiczną. Hitlerowcy, wierni swej narodowej cnocie: niemieckiej pedanterii, zdołali już nawet stworzyć osobną „naukę o pokoleniach“ („Generationenlehre“), wraz z obfitą i odpowiednio mozolną literaturą „fachową“. Także u nas nie mało zużyto już papieru na dowodzenie różnych, przygodnie lub systematycznie objawianych, „prawd młodego pokolenia“.

W zasadzie zjawisko samo w sobie nie jest zupełną nowością. Bodaj od początków XIX wieku hasło „walki pokoleń“ słyszeć się daje w Europie mniej więcej raz na trzydzieści lat, na arenach życia zarówno społeczno-politycznego, jak i kulturalno-artystycznego. Nigdy jednak nie rozbrzmiewało ono równie jaskrawo i hałaśli-

wie, jak obecnie. Nigdy nie bywało tak namiętne czy natrętnie „lansowane“ i propagowane, jak właśnie w czasach dzisiejszych. W czasach — dodajmy — w których niesłychanie ostre tempo życia liczyć pozwala już nie na lata, lecz na miesiące i tygodnie; w czasach więc wybitnie nieprzychylnych dla procesów krystalizacyjnych, w czasach, w których coraz niewdzięczniejszym zadaniem staje się wyznaczanie jakichkolwiek „linii podziału“, bo wyznaczone dzisiaj — jutro bywają już nieistotne i nieważne. Ta okoliczność, rzecz prosta, nadaje współczesnym hasłom „walki pokoleń“ charakter mocno paradoksalny. Iluż to, choćby u nas, solidnych panów w wieku „czterdziestki“ i wyżej, zabawia się i zachłystuje demagogią „młodzieżową“, nie sobie zgoła nie robiąc z śmieszności własnej sytuacji... Niemniej, skoro już uszczęśliwiono nas tą, ze wszystkich możliwych najtańszą i... najzyskowniejszą demagogią, nie od rzeczy będzie może zastanowić się nad kwestią, czy naprawdę w przeciwstawieniu: „młodzi“ — „starzy“ wyraża się formuła jakiegoś rzeczywistego konfliktu; konfliktu, który (jak to wmawiają nam nieraz), mógłby rościć pretensję do — programowości.

Czym właściwie jest „pokolenie“? Przede wszystkim, oczywiście, formacją b i o l o g i c z n ą. Pod tym względem różni się ono zasadniczo od wszystkich innych w zbiorowości ludzkiej występujących formacji o charakterze społeczno-cywilizacyjnym, takich, jak: naród, klasa, grupa wyznaniowa, partia polityczna. W istocie swojej dzielenie ludzi podług różnicy wieku należy do kategorii podziałów tej samej, co np. podział na blondynów i brunetów, szczupłych i tęgich, wysokich i niskich. Nie znaczy to jednakże, jakoby różnica wieku

stanowiła tylko tak proste i tak pod względem społecznym *neutralne* kryterium, jak różnice wzrostu czy barwy włosów. Rytm pokoleń nie jest sprawą wyłącznie przyrodniczą, ma on — w pewnych granicach — swoją treść i znaczenie społeczne.

Czynnikiem spajającym pokolenie jest, prócz wspólności dat metrykalnych, również tożsamość *warunków i przeżyć historycznych*, w jakich ono wzrasta, tożsamość *atmosfery cywilizacyjnej*, w jakiej przychodzi mu oddychać. Nic nie łączy ze sobą blondynów dlatego tylko, że są blondynami, natomiast między ludźmi jednej generacji istnieje pewne powiązanie, wynikające właśnie z owych wspólnych przeżyć i owej tożsamości atmosfery. Naturalnie, „wspólność przeżycia historycznego“ nie oznacza bynajmniej identyczności reakcji psychicznej na przeżywane zdarzenia, sprowadza się ona jedynie do równoczesnego, choć pod względem emocjonalnym zróżnicowanego, uczestnictwa w tych samych faktach dziejowych.

Jakkolwiek chcielibyśmy oceniać zakres i spoistość określonego wyżej powiązania „pokoleniowego“, jedno przecież jest zupełnie pewne: oto nie może ono — nie jest w stanie — przekreślić tych wszystkich, istotnych linii konfliktów, jakie wynikają z samej struktury ludzkiego społeczeństwa. Te ostatnie, konflikty np. socjalne czy narodowościowe, mają żywotność i ciągłość znacznie przewyższającą okres życia jednego pokolenia. Przebiegają one wzdłuż całych epok historycznych i w każdej z następujących po sobie generacyj odciskają swój rysunek. Podług tego to rysunku grupują się zespoły ludzkie na podstawie takich lub innych, wspólnych i scalających je odczuwań czy wierzeń.

Otóż takie istotne scalanie się grup i zespołów, walczących o pewne cele ogólniejsze, w najmniejszym właśnie stopniu możliwe jest na podstawie wspólności — dat metrykalnych. Biologiczne to kryterium, mimo wszystkie swoje treści dodatkowe, o których wyżej mówiłem, nie może stanowić żadnej samodzielnej zasady socjologicznej. Trudno byłoby wyobrazić sobie poważny, odgrywający istotną rolę historyczną ruch ideowy o charakterze np. politycznym, który grupowałby w swych szeregach ludzi jednego tylko pokolenia. I rzeczywiście, w każdym z istniejących współcześnie ruchów tego rodzaju widzimy, jeśli chodzi o kryterium wieku, całą klawiaturę roczników, od generacji już „weterańskiej“, poprzez dojrzałych średniaków, aż do zupełnie młodego „narybku“. Cementem, spajającym tych wszystkich pod względem biologicznym tak zróżnicowanych ludzi, jest wspólna wiara w te czy inne zasadnicze ideały ruchu.

W układzie rzeczywistości dzisiejszej stwierdzenie powyższe odnieść możemy bez zastrzeżeń do wszystkich „starych“ ruchów społeczno-politycznych, „starych“ w sensie historycznym, tzn. istniejących już od dwóch-trzech co najmniej pokoleń: przede wszystkim więc do robotniczych ruchów socjalistycznych oraz do klasowych ruchów chłopskich. Jedne i drugie, jako oparte w założeniu na kryterium realnych przeciwieństw społecznych i zmierzające do konstruktywnej przebudowy ustrojowej, mają żywotność — mimo przejściowych załamaniań czy porażek w poszczególnych krajach — niejako zagwarantowaną, przynajmniej do czasu osiągnięcia swych dalekosiężnych celów. W innej zgoła sytuacji znalazły się po wojnie światowej tradycyjne ruchy i par-

tie mieszczańskie. Oparte — w przeciwieństwie do ruchów robotniczych — na fundamencie afirmacji istniejącego porządku, stanęły wobec powojennych wstrząśnień i kryzysów z całym obciążeniem swojego bądź co bądź liberalistycznego otłuszczenia. Ratunek objawił się, jak wiadomo, w „dynamicznym“ czyli po prostu bardziej brutalnym — faszyzmie. I tutaj dochodzimy do pewnego bardzo rozpowszechnionego nieporozumienia, które należy sprostować. Ruchy faszystowskie pojmowane bywają — a raczej same tak się najchętniej pojmują — jako rzekome ruchy młodych, ruchy wchodzącego w życie powojennego pokolenia, rozumianego zresztą jako żywioł jednolity, niezróżnicowany. Otóż fakty dowodzą, że opinia taka jest z gruntu fałszywa.

Zapewne, kadry „szturmowe“ obu najpoważniejszych dziś ruchów faszystowskich: włoskiego i niemieckiego, stanowiły — w okresie ich marszu do władzy — młode stosunkowo roczniki elementów „kombatanckich“, za którymi podążały dalsze kolejne roczniki tej młodzieży mieszczańskiej, która w wojnie udziału już nie brała. Niewątpliwie też oba te ruchy rozwijały się w atmosferze pewnej względnej opozycji do „starych“ czyli liberalistycznych ugrupowań prawicowych. Wiadomo jednak, że właściwym twórcą ideologii faszystowskiej i głównym inspiratorem ruchu „czarnych koszul“ był nie tyle Mussolini, ile raczej starszy od niego o lat dwadzieścia d’Annunzio — człowiek, który w okresie „marszu na Rzym“ liczył sobie pełnych lat... sześćdziesiąt! Wiadomo również, że zwycięska „rewolucja“ Mussoliniego stosunkowo łatwo i gładko ułożyła swoje „modus vivendi“ — ze starą monarchią włoską i z całym stojącym

za nią światem przywilejów urodzenia i pieniądza. Jeśli zaś chodzi o hitleryzm, to i tu również dwa fakty są dostatecznie znane i bezsporne: po pierwsze — wiadomo, jak ściśle ruch ten związany był w całym swym rozwoju ze „starszymi panami“ z rad nadzorczych niemieckiego ciężkiego przemysłu; po wtóre — wiadomo również, że Hitler nie zdobył władzy drogą rewolucyjną, lecz została mu ona przekazana z „cieplej ręki“ sędziwego reprezentanta starych Niemiec, feldmarszałka Hindenburga.

Kilka słów poświęcić wypada polskim doświadczeniom. Wydaje mi się, że swoistym dramatem naszego faszyzmu rodzimego jest jego — powiedzmy — dwutorowość. „Naturalnym“, pod każdym względem predestynowanym do tej roli nosicielem idei faszystowskich stała się u nas, od roku 1923 mniej więcej, endecja. Czego jednak brakowało jej od początku, to właśnie tego mocnego, zwartego i wysoce zaprawionego do działań aktywu „kombatanckiego“, który odegrał tak istotną rolę we Włoszech i w Niemczech. Tak wypadło, że aktyw ten — pilsudczycy — wyrósł u nas z przedwojennego nurtu niepodległościowego o charakterze demokratycznym i społecznie raczej radykalnym, co więcej, że wyrósł on i dojrzał właśnie w zasadniczej walce z partią Dmowskiego. W rezultacie ten właśnie aktyw „kombatancki“ odegrał przejściowo — w roku 1926 — rolę obiektywnie antyfaszystowską: udaremnił, przy poparciu mas robotniczych, grożący wtedy prawicowy zamach stanu, przygotowywany przez endecję pod hasłami wyraźnie już „mussolińskimi“. Z paradoksalności tego faktu zaczęło zdawać sobie sprawę — w kilka lat później — młode pokolenie endecji, czego wyrazem było powstanie ONR-u,

ruchu, który — mimo pozorów ostrej opozycji wobec régime'u „pomajowego“ — siłą rzeczy postawił na porządku dziennym kwestię „pogodzenia“ dmowszczyzny — z tym elementem, którego jej zabrakło w krytycznych dniach majowych: z aktywem kombatanckim (nie wszystkich zresztą!) piłsudczyków. Słuszną przesłanką tej „syntetycznej“ koncepcji była m. in. ta okoliczność, że piłsudczycy stanowią rzadkie stosunkowo w historii zjawisko formacji względnie jednopokoleniowej, ukształtowanej w ogniu niepowtarzalnego, jedyne go w swoim rodzaju przeżycia: Legionów. Względna „jednopokoleniowość“ polega tutaj na zespoleniu szeregu roczników, ale tylko od pewnej granicy w z w y ż. Formacje tego typu nieuchronnie skazane są na „bezdzielną“ ideologiczną lub co najmniej na przymus adoptowania spadkobierców spośród uformowanej już młodzieży innych obozów. W danym wypadku ta druga ewentualność wyłoniła się jako rezultat rozejścia się grupy z jej macierzystym, szerokim łóżyskiem społecznym, tzn. jako skutek antydemokratycznej ewolucji znacznego odłamu piłsudczyków.

Znane zjawiska ostatnich czasów wskazują, iż wspomniana „dwutorowość“ naszego faszyzmu ma się poniekąd ku końcowi. Tym bardziej jednak jasne się staje, iż nie podobna dłużej mówić o jakiejś istotnej samodzielności oenerowskiego „młodego pokolenia“. Do dziś dnia zresztą zarówno ONR, jak i Stronnictwo Narodowe dość zgodnie uznają starca Dmowskiego za najwyższy dla siebie autorytet ideologiczny. Różnica między obu odłami naszego ruchu „narodowego“ polega chyba głównie na tym, że „młodzi“ i „radykalni“ — bardziej niż stara endecja skłonni są dogadywać się z... więcej od Dmowskie-

go znaczącymi dziś „starszymi panami“ z obozu o tradycjach jednakowo nienawistnych całemu endectwu.

Cóż wynika z uprzytomnionych wyżej faktów? Oto potwierdzają one naszą tezę, iż ruchy faszystowskie nie są bynajmniej tym, za co same często i chętnie się podają: „frontami“ i ruchami „młodych“ — przeciw „starym“. Zgódźmy się, że jest w nich tyle samo co najmniej zagrożonego tłuszczy najzwyczajniejszej starej generacji mieszczaństwa, ile owego dobrze skalkulowanego „dynamizmu“ niektórych, mniej lub więcej uprzywilejowanych warstw młodzieży. A właściwa tym ruchom chęć socjalnej sterylizacji młodego pokolenia, sprowadzenia go do jakiejś czysto biologicznej, bezpostaciowo jednolitej masy — chęć taka, stanowiąca treść wszelkiej „młodzieżowej“ demagogii, jest niczym innym, jak próbą całkowitego zafałszowania rzeczywistości. Dodajmy, że świadczy ona — jak każda w ogóle demagogia — o pogardliwym w gruncie rzeczy i obrażającym stosunku do młodzieży, co łatwo zrozumie każdy, dla kogo pojęcie „młodość“ jest określeniem bogatym, kryjącym w sobie pełnię wszelakich ludzkich możliwości — nie zaś jedynie synonimem przyrodniczego żywiołu, byczkowatego „dynamizmu“ młodych gardzieli i mięśni.

II

Posłuchajmy jednak, jak na te sprawy zapatrują się rzecznicy formuły: „młodzi“ — „starzy“, ludzie, wierzący w istnienie jakiegoś rzeczywistego „konfliktu pokoleń“. Jeden z nich, p. Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z mostu“, napisał swego czasu w artykule „Cenzus wieku“ zdania następujące:

„Niesposób nie widzieć dzisiaj (mowa o stosunkach polskich — p. m.) zjawiska solidarności młodego pokolenia. Nie jest to solidarność poglądów oczywiście, ale solidarność metody myślenia, solidarność hierachii tematów, solidarność reakcji uczuciowych. Dwu młodym z przeciwnych obozów łatwiej się nieraz dogadać ze sobą, niż każdemu z nich ze swoim „starym“. Bliżsi są sobie psychicznie... Ich podział jest jeszcze odbłaskiem podziału tzw. starszego społeczeństwa. Ale jest to podział raczej powierzchowny...”

Można by ostatecznie uznać uwagi powyższe za słuszne, gdyby przyjąć, że p. Piasecki mówiąc o „dwu młodych z przeciwnych obozów“ miał na myśli jedynie różne konkurencyjne grupy naszych „narodowców“, chociaż skądinąd wiadomo, jak dzikie formy przybiera współzawodnictwo między tymi właśnie grupami. Jeśli jednak rzekoma „solidarność młodego pokolenia“ miałaby tu oznaczać rzecz większą i szerszą, to wypadłoby tylko podziwiać niefrasobliwość, z jaką w zacytowanym ustępie fakty zostały przez p. Piaseckiego nagięte do wydmuchanej a priori tezy. W rzeczywistości bowiem konflikty idei i światopoglądów daleko ostrzej występują właśnie w każdorazowym pokoleniu „młodych“, niż w odpowiadającym mu generacji „starych“. Wynika to nie tylko z biologicznej różnicy temperamentów. Wspominaliśmy już poprzednio, że czynnikiem spajającym ludzi jednego pokolenia jest pewna suma wspólnie doznanych przeżyć historycznych, pewien szmat wspólnie przebytej drogi dziejowej, pewien wspólnie przemierzony etap rozwoju

cywilizacyjnego. Otóż jest rzeczą zupełnie oczywistą, że suma wszystkich tych wspólności narasta w miarę starzenia się generacji, w miarę, jak pokolenie posuwa się w lata. Prowadzi to z naturalną konsekwencją do stopniowego pogłębiania się więzi wewnątrz danego pokolenia, co z kolei działać znów musi przytępiająco i uśmierzająco na wszystkie istniejące w tym pokoleniu linie podziałów światopoglądowych. Stosunkowo najbardziej jednolity jest niewątpliwie światogląd tzw. starców nad grobem...

Wszystko to prowadzi nas do wniosku, że znalezienie „wspólnego języka“ w sprawach zasadniczych — „starym“ o wiele łatwiej przychodzi niż „młodym“. Co więcej, gdy wśród „starych“ najwydatniejszą rolę zdają się odgrywać raczej antagonizmy *personalne*, zadawnione komeraże i porachunki osobiste, to w młodym pokoleniu góruje właśnie ostrość rysunku konfliktów *istotnych, programowych*. Młodzież bowiem, wchodząca w życie publiczne, nie wlewa się doń zwartą i jednolitą masą swojego żywiołu. Wsącza się ona — inaczej przecież być nie może! — w łożyska istniejących już, zastanych ruchów i sił społecznych. Rzuca się w ich różnolimienne nurty z całym impulsem biologicznej świeżości. Właściwa jej wiekowi skłonność do egzaltacji i przesady oraz nikłość zmysłu krytycznego czynią jej stosunek do przyjmowanych idei i światopoglądów — radykalnym i jaskrawym. Skoro zaś i suma wspólnych przeżyć pokoleniowych jest jeszcze zbyt szczupła, by wytwarzane przez nie spójnie mogły odgrywać wydatniejszą rolę — cóż dziwnego, że istniejące w społeczeństwie podziały i konflikty właśnie w młodym pokoleniu zyskują raczej na ostrości i natężeniu. Ale też właśnie dlatego trudno

jest mówić o rzekomej „solidarności młodego pokolenia“, a tym mniej o wynikającym jakoby z tej „solidarności“ — „wspólnym froncie“ „młodych“ przeciw „starym“. (P. Piasecki nie weźmie mi chyba za złe, jeśli stwierdzę, że między współczesną młodzieżą mieszczańsko-nacjonalistyczną a znakomitą większością młodzieży robotniczej i chłopskiej nie tylko nie ma mowy o solidarności poglądów, ale tak samo — i może nawet przede wszystkim! — o jakiejś solidarności „metody myślenia“, „hierarchii tematów“ i „reakcji uczuciowych“. I jedna i druga i trzecia są — tu i tam — z gruntu i całkowicie odmienne).

Tak przedstawiają się te sprawy w warunkach swobodnej czy choćby względnie swobodnej gry sił społecznych. Wiadomo jednak, że ruchy faszystowskie zmierzają do ograniczenia a raczej wręcz unicestwienia tej swobody. „Demagogia młodzieżowa“ tych ruchów wiąże się dość logicznie z ich programową tendencją „totalistyczną“, z zasadą monopartyjności, usuwającej z życia publicznego kraju istnienie i działanie jakichkolwiek, poza partią rządzącą, ugrupowań polityczno-ideowych. Mógłby więc ktoś powiedzieć, iż „solidarność młodego pokolenia“ w najszerszym pojęciu, zasadniczo niemożliwa do osiągnięcia w społeczeństwie „demoliberalnym“, zyskuje pełne podstawy realizacyjne — w ustrojach „totalnych“. „Totalizm“, niszcząc owe różnoimienne łożyska „starych“ ruchów, kanalizuje całą młodzież w swoim wyłącznie, mocno obwałowanym korycie wychowawczym, obficie posługując się przy tym — zwłaszcza w fazie początkowej — hasłami „walki pokoleń“. Powstaje więc pytanie, czy — i w jakim stopniu — tego rodzaju próbom całkowitego ujednolicenia ideowego jednej chociażby

generacji można rokować na dłuższą metę jakąś istotną spoiłość i trwałość?

Nie sądzę, aby odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna, tzn. bezwzględnie przecząca. Owszem, wydaje mi się, że trwałe i prawdziwe scalenie młodego pokolenia — oczywiście nie w znaczeniu jakiegoś skoszarowania mózgów, lecz w sensie pozyskania ich dla wspólnego ideału społecznego — jest w zasadzie zawsze do osiągnięcia. Pod jednym wszakże kardynalnym warunkiem uprzedniej przebudowy strukturalnej ludzkiego społeczeństwa, w pierwszym rzędzie zaś usunięcia istniejących dziś w tej strukturze głębokich, przeraźliwie głębokich różnic ekonomiczno-socjalnych. Otóż faszyzm jak najmniej zdolny jest dokonać tego wielkiego zadania. On właśnie w tym celu powstał, aby do przebudowy społecznej nie dopuścić, aby jej czas opóźnić, aby strukturę przeklętych podziałów utrzymać, ratować wszelkimi środkami, a nawet — w praktyce — jeszcze ją pogłębić i zaostrzyć. Ale dlatego właśnie dzieło podjęte przez „Balillę“ czy „Hitlerjugend“ nie będzie — nie może być — skuteczne i trwałe. Ta prawda jasna jest dla każdego, kto życie społeczeństw ludzkich ocenia cierpliwą skalą historii, nie kieszonkową podziałką samodurnej histerii politycznej.

III

Nie wynika z całości powyższych wywodów, abyśmy mieli nie widzieć tej części prawdy, jaka — mimo wszystko — tkwi przecież na dnie przeciwstawienia: „młodzi“ — „starzy“. Należy tylko sprowadzić zagadnienie na odpowiednią płaszczyznę. Koncepcję „walki po-

koleń“, pojętej jako rzekomo ważny konflikt natury „programowej“, trzeba stanowczo odrzucić, uznać za sztuczną i pozbawioną „pokrycia“ w samej rzeczywistości. Prawdziwe walki i rzeczywiście programowe konflikty to tylko te, które mocnymi liniami biegną wzdłuż dziejów, nurtami prującymi poprzez pokolenia — i tych nie zdoła zadławić żadna, najbardziej nawet masowa wytwórnia duchowych uniformów; te trzeba rozwiązywać.

Biologiczne w istocie swojej zjawisko „rytmu pokoleń“ nie może być przedmiotem naciąganych spekulacji „młodzieżowych“, lecz powinno być traktowane jako biologiczny właśnie mechanizm rozwoju ludzkich społeczeństw. Dzieje odmierzać można różnego rodzaju podziałami epok, okresów i cykliów, lecz ich odrębną zgołą, najmniej nadającą się do spekulacji miarą jest nieustanny, przez tysiąclecia idący przepływ generacji. Żadna sztywna granica nie może być przeprowadzana w poprzek tego nieprzerwanego, wiecznie płynnego żywiołu. Dlatego „starzy“ i „młodzi“ — to nie są pojęcia przeciwstawne, to pojęcia raczej współbieżne, na podobieństwo fal rzecznych równoległe ze sobą idących.

Zapewne, młodzi często skłonni bywają sądzić, że świat od nich dopiero się zaczyna — i to przekonanie ma w pewnym stopniu swoje pobudzające znaczenie. „Starzy“ — wiedzą, że tak nie jest, i chociaż smak tej wiedzy bywa cierpki, przecież i jej nie można lekceważyć. Jeżeli jest tu jakiś konflikt, to chyba tylko ten jedyny, który każdy człowiek przeżywa we własnym wnętrzu.

Prof. Bystronia zaliczyć trzeba do rzędu tych — według jego własnego wyrażenia — „pogrobowców chrześcijaństwa, którzy ukochali kulturę idealistyczną“. W istocie, z idealistycznego wyłącznie stanowiska rozpatruje on, w swym studium o „Megalomanii narodowej“, tworzenie się, rozwój historyczny, stan obecny i przyszłe perspektywy nacjonalizmu. Jest to, w najlepszym razie, połowiczne traktowanie zagadnienia. Niewątpliwie słusznie zarody nacjonalizmu dostrzega prof. Bystron w najmroczniejszej przeszłości dziejów — w instynktach i popędach pierwotnej hordy ludzkiej, plemienia czy klanu; niewątpliwie słusznie wskazuje na atawistyczną ciągłość tych instynktów i popędów, nieprzewyciężonych bynajmniej przez chrześcijaństwo, na ich doniosłą rolę uczuciowego podłoża nowożytnych nacjonalizmów różnej maści. Na tym też jednak, niestety, poprzestaje: na omówieniu irracjonalnych elementów „megalomanii narodowej“, oraz jej „teoretycznej“ nadbudowy. Nic dziwnego, że pesymistycznym akordem kończy swoje studium tytułowe, dalszą część książki poświęcając demonstracji bogatego, głównie etnograficznego materiału z zakresu psychologii szowinizmów grupowych, plemiennych i lokalnych.

Ta połowiczność w traktowaniu samego zagadnienia nacjonalizmu wynika z jednostronnie idealistycznego ujmowania rzeczy. Prof. Bystron ani jednym słowem nie

¹ Jan St. Bystron: „Megalomania narodowa“. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój“.

dotyka społeczno-ekonomicznej treści problemu. Rudymenty uczuciowo-popędowe w „megalomanii“ plemienną czy narodową są bardzo istotne, to prawda, lecz ich znaczenie zmniejsza się coraz wydatniej w miarę rozwoju struktury społeczeństw, w miarę jak oddalamy się od stadiów pierwotnych, naturalnych, w kierunku czasów nowożytnych. Rośnie natomiast, równoległe do tego rozwoju, coraz wyraźniejsza rola czynników poza-uczuciowych: socjalnych i gospodarczych, których działanie w mechanizmie współczesnych nacjonalizmów jest już chyba aż nadto widoczne, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę fazę szczytową „megalomanii narodowej“: imperializm. Trudno nie widzieć w ostatniej wojnie światowej najistotniejszych jej sił dynamicznych: ekonomicznych imperializmów, dla których krwawe opary plemiennych nienawiści były w gruncie rzeczy systemem przesłondymnych, świetnie reżyserowanych przez specjalistów od „megalomanii narodowej“. Trudno dziś mówić np. o hitleryzmie wyłącznie jako o zjawisku obłędu masowego, opartego na przesłankach mistyki rasowo-narodowej, skoro ten „obłęd“, sfinansowany w swym rozwoju ciężkimi pieniędzmi przez baronów przemysłowych, ma aż nadto przejrzysty, na chłodno skalkulowany i bardzo konkretny sens społeczno-polityczny, zarówno w skali wewnątrz-niemieckiej jak i międzynarodowej.

Jak idealistyczne wyłącznie pojmowanie rzeczywistości społecznej nie daje badaczowi naukowemu możliwości gruntownego jej oświetlenia, tak samo idealistyczne doktryny przebudowy tej rzeczywistości okazywać się muszą bezsilne i mało skuteczne w działaniu. Mam tu na myśli doktrynę chrystianizmu. Zupełnie słusznie prof. Bystroń przeciwstawia uniwersalistyczną tę koncepcję —

ponurej dżungli uczuć nacjonalistycznych. Trudno też zaprzeczyć mu, gdy stwierdza — między wierszami — bankructwo tej koncepcji w życiu Europy współczesnej. Nie może jednak zadowolić nas taka stwierdzenia powyższego motywacja:

„Idealą, które chrystianizm głosił, były zbyt doskonałe, zbyt odległe, aby mogły być urzeczywistnione na tej ziemi“.

Nie podzielam bynajmniej pesymizmu prof. Bystronia. Moim zdaniem, uniwersalistyczny ideał ludzkości, wolnej od szaleństw nacjonalizmów, może być urzeczywistniony „na tej ziemi“. Nie dokonał tego — i nie dokona — chrystianizm, właśnie dlatego, że jest doktryną idealistyczną, opartą na negacji materialnych czynników rozwoju społecznego a nawet na pogardzie dla nich, na konsekwentnej abstrakcji celów ludzkich, oderwaniu ich od „padołów ziemskich“, a przetruceniu w krainę „zaświatów“. Doktryna, tak krańcowo spirytualistyczna, wroga wszelkiej „doczesności“, kładąc nacisk główny na sprawę „doskonalenia się wewnętrznego“ je d n o s t e k, nie mogła stać się skutecznym narzędziem przeobrażenia społeczeństw ludzkich, nurtowanych prymitywnymi instynktami zoologicznych wrogości plemiennych — przeobrażenia ich w duchu uniwersalistycznych ideałów. Jakoż, nie stała się tym narzędziem, mimo, że na długi szereg wieków opanowała niemal powszechnie umysły narodów europejskich. Co więcej: na chrześcijańskich właśnie podstawach oparta kultura Europy wyhodowała w XIX wieku najbardziej „udoskonalone“, ideologiczne i „naukowo“ najpełniej rozbudowane systemy nacjonalizmów; a chrześcijaństwo i jego instytucje: kościoły, odegrały wybitną rolę w kształtowaniu się tych syste-

mów, udzielając im „nadprzyrodzonych“ sankcyj. Uniwersalny Bóg pierwotnego chrześcijaństwa, opanowawszy Europę, rozszedł się na licznych Bogów narodowych. „Z łaski bożej — stwierdza prof. Bystron — panowali królowie, w imię boże zaczynały wojny i prowadzono je pod kierownictwem bożym“. Inaczej być nie mogło. Im wznioslejsza, im bardziej oderwana od rzeczywistości społecznej idea, tym lepiej się nadaje do ozdobienia najmniej wzniosłych interesów, tym chętniej bywa przystosowywana do użytku właśnie społecznego, dla celów najczęściej biegunowo jej przeciwnych.

Mimo wszystko, jest pewna granica, poza którą harmonijna symbioza współczesnego chrześcijaństwa z nacjonalizmem wyjść nie może bez narażania się na ostre konflikty wewnętrzne. Powojenny rozwój nacjonalizmów — wyraz zaostrzających się coraz przeciwności społecznych — osiąga ostatnimi czasy, w faszystwach, swoje apogeum w rozmiarach tak wybujałych, że — w niektórych zwłaszcza krajach — grozić zaczyna nawet tym „stosowanym“ formom chrześcijaństwa, które do wczoraj jeszcze były jego sojusznikiem, lecz w których bądź co bądź utrzymały się po dziś dzień jakieś ślady tendencji uniwersalistycznych (zwłaszcza w katolicyzmie). Konwulsje nacjonalizmu w jego faszystowskiej fazie, będące w gruncie rzeczy ostateczną, rozpaczliwą próbą przeciwdziałania rosnącej wskutek kryzysu fali ruchów robotniczych i chłopskich, nie oszczędzają także i tych szczątkowych resztek pierwotnego, ewangelicznego chrześcijaństwa, które się przechowały na dnie dotychczasowej kultury chrześcijańskiej. Trafne antycypacje w tym kierunku znaleźć można w studium prof. Bystronia, które — napisane wszak w roku 1924 — dzisiaj

dopiero nabiera prawdziwie wyrazistej aktualności, chociażby w świetle tego, co się dzieje w Niemczech. Antychrześcijański rasizm, deifikacja narodu, prądy neopogańskie, walka z kościołami, zarówno protestanckim jak i zwłaszcza katolickim — wszystko to są logiczne konsekwencje szczytowe (i schyłkowe zarazem!) nacjonalizmu, do którego rozwoju chrześcijaństwo oficjalny w niemałym stopniu się przyczynił, sprzymierzając z nim wszędzie swe instytucje przeciw — s o c j a l i z m o w i.¹

A właśnie o socjalizmie zapomniał prof. Bystron w swym studium. Ograniczając się do dylematu: nacjonalizm — chrystianizm, dochodzi ostatecznie do wysunięcia postulatu k o m p r o m i s u między nacjonalistyczną „rzeczywistością“ a chrześcijańskim „ideałem“, konkludując, że „w przeciwnym razie grozi nam albo abnegacja życia, albo też jego zupełna barbaryzacja“. W istocie, czysty chrystianizm oznacza „abnegację życia“, jest doktryną samobójczą dla rozwojowych sił człowieka. Prawdą jest również, iż „rzeczywistość“ nacjonalistyczna, konsekwentnie rozbudowywana, przy dzisiejszych środkach materialnych i technicznych prowadzi nieuchronnie do zagłady społeczeństw cywilizowanych, do barbaryzacji życia. Ale — czy kompromis, proponowany przez prof. Bystronia, jest możliwy? Wszystko

¹ W Polsce obserwujemy wciąż jeszcze fazę prawie że niezmaczonej symbiozy nacjonalizmu z katolicyzmem. Furia, z jaką endecki publicysta Z. Wasilewski rzucił się swego czasu na studium Bystronia, rozpatrujące „megalomanię narodową“ ze stanowiska integralnego chrystianizmu, demaskuje najlepiej potworne zakłamanie wewnętrzne naszych „narodowców“ i patentowanych zarazem rzeczników „chrześcijaństwa“. Bezstronność nakazuje przyznać, że hitlerowscy neopoganie są od nich znacznie szczeri i konsekwentniejsi...

wskazuje na to, że od tej możliwości oddalamy się raczej — i to w tempie coraz bardziej przyspieszonym.

Dylematowi: nacjonalizm — chrystianizm, przeciwstawić należy, jako „tertium datur“, — socjalizm, doktrynę nie idealistyczną, jak chrystianizm, ale stawiającą i d e a ł wyraźny i mocno ugruntowany w realnych siłach rozwojowych ludzkości. Doktrynę bardziej narodową niż nacjonalizm, bo nie rzucającą narody przeciw narodom, ale postulującą sprawiedliwość społeczną i pełnię życia kulturalnego dla najliczniejszych, pracujących mas narodu; doktrynę równie uniwersalistyczną jak chrystianizm, bo opartą na międzynarodowej tych mas solidarności i współpracy. Międzynarodowość socjalizmu bynajmniej nie koliduje z rozumnie pojmowanymi interesami narodowymi — wręcz przeciwnie, usuwając antagonizmy plemienne czy rasowe, zużywające dziś — bezpłodnie — znaczne ilości energii narodów, wyzwoli tę energię i skieruje ją ku najistotniejszym, kulturo-twórczym działaniom. Że tam nie będzie miejsca na „megalomanię narodową“ — o to możemy być spokojni.

Chyba, że przedtem rozwój współczesnych, spieszenie zbrojących się nacjonalizmów zaskoczy nas — katastrofą. Wtedy niezmiernie aktualną stałaby się groza już nie „barbaryzacji“, ale — kto wie? — może ogólnej i całkowitej zagłady życia i cywilizacji w Europie.

P. S. Kapitałnym przyczynkiem do „Megalomanii narodowej“ jest zamieszczony swego czasu w tygodniku *Prosto z mostu* (Nr 3) artykuł p. Jana Korolca p. t. „Czy słowo zaklęcia będzie wypowiedziane po polsku?“. W artykule tym p. Korolec omawia książkę o faszyzmie włoskim, wydaną przed paru laty przez hitlerowca Waltera Heinricha. Oczywiście nazistowski socjolog z wielką sym-

patją odnosi się do italskiego prawzoru faszyzmów; uważa jednak, że nie jest on jeszcze „ostatnim słowem“ w tym kierunku, owym „cudownym zaklęciem“, które ma „uratować całą Europę“ i „ukształtować świat na nowy sposób“. Rzecz prosta, to „cudowne zaklęcie“ zostanie — zdaniem Heinricha — „powiedziane po niemiecku“ (było to w okresie dochodzenia Hitlera do władzy).

Naturalnie nasz p. Korolec jest innego zdania. W zakończeniu swego artykułu przyznaje wprawdzie Heinrichowi, że „cudowne zaklęcie“, mające zbawić ludzkość, nie zostało wypowiedziane „po włosku“, zaprzecza jednak zarazem, jakoby ono miało być wyrzeczone „po niemiecku“ — wierzy natomiast, że „słowo-hasło“ będzie ostatecznie sformułowane „po polsku“!

Tego rodzaju zabawa w „moje na wierzchu“ jest niezmiernie charakterystyczna dla umysłowości wszystkich nacjonalistów: starych koni, zahamowanych w rozwoju na poziomie ósmiolatków.

BEZDROŻA NACJONALIZMU I SOCJALISTYCZNE IDEALY.

I.

„Mieszkańcy zapadłych kątów, którzy świata bożego nie widzieli, są oczywiście skłonni uważać siebie za najlepszych, a osadę swą za najpiękniejszą, najstarszą, niemal za centrum świata“.

(*J. St. Bystron*: „Megalomania narodowa“, str. 189).

W warszawskim „Lewym Torze“ zamieściłem przed paru miesiącami artykuł o cytowanej powyżej książce prof. Bystronia. W zakończeniu wskazałem tam na drukowany swego czasu w „Prosto z mostu“ artykuł p. J. Korolca p. t. „Czy słowo zakłęcia będzie wypowiedziane po polsku?“ jako na wyjątkowo udały preparat z zakresu patologii nacjonalistycznej. P. Korolec zareagował na to „Odpowiedzią megalomana“, opublikowaną niedawno w n-rze 43 „Prosto z mostu“. Pomijając dość niewybredną polszczyznę p. Korolca, odpowiedź jego jest tak wymownym świadectwem zamętu myślowego, właściwego ideologom „narodowo-radykalnym“, że trudno mi przejść nad nią do porządku; zwłaszcza, gdy p. Korolec powiada o mnie, że mam w dziedzinie zagadnień narodowych poglądy „stanowczo przestarzałe“ — tym bardziej wypada chyba przyjrzeć się dokładniej, jak też wygląda jego (tj. p. Korolca) domniemana „nowoczesność“.

O tym, że dzisiejszy ruch „narodowy“ w Polsce zerwał zupełnie z doktrynerską spuścizną XIX wieku, w szczególności zaś z „liberalnym demokratyzmem“, niepotrzebnie poucza mnie p. Korolec; o endeckim faszyzmie mówi się wszak wyraźnie — właśnie w obozie lewicy społecznej, do której mam zaszczyt się zaliczać. Wprawdzie zarówno p. Korolec, jak i jego przyjaciele ideowi w „Prosto z mostu“, to i owo przyganiają faszyzmowi w jego italskim oraz niemieckim wydaniu — lecz ich głębokie sympatie dla mussolinizmu i hitleryzmu są szczerze i niewątpliwe, jak szczerzy i niewątpliwy jest ich antymarxizm.

Lecz faszyzm młodo-endecki, zgodny z innymi faszyzmami w negacji idei liberalno-demokratycznych, nie ma bynajmniej zamiaru kopiować niewolniczo swoich starszych braci. Jako ruch nacjonalistyczny, ambicjonuje się w kierunku własnej, oryginalnej twórczości ideologicznej, gdyż — jak powiada p. Korolec — „każdy naród jest przekonany, że reprezentowany przez niego typ duchowy jest najlepszy“, a zatem najlepszymi będą i jego koncepcje urządzenia świata. Oczywiście, p. Korolec przesadza, gdy twierdzi, że każdy naród jest przekonany o swej „najlepszości“; tego rodzaju „przekonanie“ to raczej prywatna własność nacjonalistów w każdym kraju. Prostackie, parafiańskie w swej istocie (patrz motto niniejszego artykułu), niczym się ono nie różni od mniemania, jakie się utrzymuje w słynnym miasteczku Kiernozi: jego mieszkańcy są pono przekonani, że środek świata znajduje się w ich osadzie, wyznacza go mianowicie żyrandol w jadalni plebana (Bystrzeń, cyt. ks. str. 190).

Zobaczmy jednak, z jakich przesłanek czerpie p. Ko-

rolec swe przeświadczenie o szczególniejszym powołaniu naszych, wyzwolonych z liberalnego doktrynerstwa „narodowców“ — do wytworzenia własnej, „najlepszej“, ba! „wzorowej“ dla innych, podlejszych nacyj, koncepcji ustrojowej? Skąd płynie jego wiara, iż „słowo zakłęcia“, które ma zbawić ludzkość, „będzie wypowiedziane po polsku?“

Odpowiedź na to pytanie, jaką daje p. Korolec, przechodzi najśmielsze oczekiwania.

„Nowy ład w Polsce będzie zbudowany tylko przez nawiązanie do tradycji naszej polskiej wolności“. Za pozwoleniem! Jaką to „polską wolność“ p. Korolec ma na myśli, jaką „tradycję naszych dziejów?“ Czy tę, której symbolem był przez stulecia b a t, świszczący nad plecami chłopów polskich? Bynajmniej. „Polską wolnością“ nazywa p. Korolec — i słusznie! — słynną szlachecką „z ł o t ą w o l n o ś ć“. „Z dumą“ cytuje słowa Orzechowskiego, zwrócone do Litwinów: „Tobie się Pan rodził, mnie się nie rodził; tego ty Pana masz, któregoś mieć musiał, ja Polak tego króla mam, k t ó r e g o m m i e ć c h c i a ł..“ „Z dumą“ wspomina posła polskiego Hraburdę w „Iwanie Groźnym“ Tołstoja — „tyle tam bije ducha wolności w przeciwstawieniu niewolniczej zmo-
rze Rosji“.

Tylko — czy zastanowił się p. Korolec, co znaczą słowa Orzechowskiego: „ja Polak tego króla mam, któregom mieć chciał?“ Czy zastanowił się, czym była — jako forma ustrojowa — p o l s k a r e p u b l i k a s z l a c h e c k a? Czy p. Korolec wie, że Rzeczpospolita od drugiej połowy XVI w. była jedynym na kontynencie europejskim ustrojem liberalnej demokracji — szlacheckiej wprawdzie, stanowej, nie powszechnej, jak

późniejsza demokracja mieszczańska, ale za to skrajniejszej w liberalnym „doktrynerstwie“, niż wszystkie, jakże niewinne przy niej, „demo-liberalizmy“ XIX stulecia! To są rzeczy elementarne, lecz — jak się okazuje — panowie „młodzi narodowcy“ dość płytko znają historię własnego narodu; czy dlatego, że młodzi, czy — że narodowcy? Mniejsza z tym, chodzi raczej o to, że ci ludzie, odżegnywując się, jak od diabła, od XIX-wiecznego liberalizmu i demokracji, natchnień dla swych koncepcyj ustrojowych szukają... w tradycjach najkrańcowiej liberalnego (wręcz anarchicznego) ustroju, jaki kiedykolwiek istniał w dziejach! Mówiąc „prosto z mostu“: oto, co się nazywa skoczyć „z pieca na łeb“ przy akompaniamencie wyświechtanych frazesideł w rodzaju „wiarę w świetlane oblicze ducha polskiego“.

Nawiasem: niech p. Korolec, który lubi „świetlane“ słówka, nie próbuje przypadkiem przekonywać mnie, że — co innego „naukowy“ i „materialistyczny“ liberalizm XIX wieku, „pożyczony z łóż“, a co innego zgola tamten staropolski liberalizm z epoki „liberum veto“, tamto — jak określa p. Korolec — „polskie pojmowanie wolności, wywodzące się z ducha doktryny katolickiej“. Bobrzyński, historyk nie podejrzany zdaje się o masoństwo, napisał o tym „polskim pojmowaniu wolności“, że ono „udaremniało wszelki poryw ku wznioślejszym, idealnym celom“, oraz że „rozwicko materializm do cynizmu“¹ — oczywiście, materializm nie naukowy, lecz dosłowny, najtrywialniejszy, materializm interesu stanowego.

Ale artykuł p. Korolca nie wyczerpuje bynajmniej kwestii zamętu myślowego, panującego w jego obozie.

¹ Bobrzyński, „Dzieje polski“, tom II, str. 141—142.

Skądinąd bowiem wiadomo, że ruch „młodonarodowy“ wysuwa postulaty „dyscypliny i hierarchii“, jako zasad, mających regulować stosunki społeczne. Ta skakanka pomiędzy „wolnością“ a „dyscypliną“ (wiemy, co oznacza to słowo w żargonie faszystowskim), między negacją XIX-wiecznego liberalizmu, a kultem dla tradycji skrajnie liberalnych, tylko znacznie starszych — wydaje mi się łatwą do wytłumaczenia. Niewątpliwie faszystowski, anty-demokratyczny i antywolnościowy charakter naszego ruchu „młodo-narodowego“ ulega pewnej aktualnej deformacji z tej prostej przyczyny, że ruch ten nie posiada władzy w rękach, że — wręcz przeciwnie — znajduje się w opozycji do systemu rządzącego (rządzącego — bynajmniej nie liberalnie). Entuzjazm dla wolności („liberum“) o jedną szpalnę sąsiadujący w artykule p. Korolca z pogardą dla „demo-liberalizmu“, to jednak tylko z pozoru niefortunny zamęt pojęć; w gruncie rzeczy — to raczej dość przejrzysty woal, przesłaniający istotne oblicze. Takie samo znaczenie mają frazesy o „odrodzeniu moralnym“, o „miłości, jako wartości najwyższej“, oraz — co najkapitałniejsze w ustach „narodowca“ — o „tolerancji, jako zasadzie współżycia“ (korci mnie tutaj kalambur: współ-żydzia...).

Pragnąłbym jeszcze sprostować: p. Korolec nazywa mnie zwolennikiem „teorii materialistycznych, nasiąkniętych duchem azjatyckiego niewolnictwa“; oczywiście, chodzi tu o marxizm, wobec czego pozwalam sobie przypomnieć p. Korolcowi, że ten wielki prąd umysłowy i społeczny zrodził się i rozwinął nie w Azji, lecz w najkulturalniejszych krajach zachodniej Europy. Nie widzę powodów, aby przypuszczać, że w tych krajach nie ma on i nie będzie miał już nic do powiedzenia...

Jeszcze jedno: wspomniałem na wstępie, że polszczyzna p. Korolca jest „dość niewybredna“. Aby to udowodnić, cytuję z jego artykułu: „Ta megalomania może być w stanie poruszenia w najgłębszych podkładach (!!) podświadomości narodowej takiej energii...“ Nie, stanowczo polszczyzna p. Korolca nie może — mówiąc jego stylem — być w stanie pobudzenia narodu do... megalomanii!

II

Odpowiadając p. Korolcowi, nie mogę pominąć i samego redaktora „Prosto z mostu“. P. Piasecki również zwrócił swego czasu uwagę na mój artykuł o „Megalomanii narodowej“. W n-rze 27 swego tygodnika, w „prze-glądzie prasy“, przedrukował z niego zdania następujące:

„Dylematowi: nacjonalizm — chrystianizm, przeciwstawić należy jako tertium datur — socjalizm, doktrynę nie idealistyczną, jak chrystianizm, lecz stawiającą i d e a ł wyraźny i mocno ugruntowany w realnych siłach rozwojowych ludzkości. Doktrynę b a r d z i e j n a r o d o w ą, niż nacjonalizm, bo nie rzucającą narody przeciw narodom, ale postulującą sprawiedliwość społeczną i pełnię życia kulturalnego dla najliczniejszych pracujących mas narodu“.

Przytoczony cytat zaopatrzył p. Piasecki takim komentarzem: „Marxista, osłaniający materialistyczną doktrynę socjalistyczną tym, że ma ona ideał, i dowodzący, że jest ona narodowa — to bardzo znamieny znak czasów, w których żyjemy. Bez idealizmu i haseł narodowych nie mogą się obejść nawet materialści i międzynarodowcy“.

„Idealizm“ i „hasła narodowe“: cóż za uproszczone rozumowanie! Gdy ja wyraźnie p r z e c i w s t a w i a m nacjonalizmowi — socjalizm, p. Piasecki skwitował mnie, ot, mechaniczną gierką słów: „idealizm“ — „materializm“, „narodowy“ — „międzynarodowy“, i przypisuje mi koniunkturalne jakieś („znak czasu“) przechwytywanie modnych wiatrów — pod stare żagle marxizmu.

Istnieje popularny, bardzo stary i bardzo prostacki sposób podchodzenia do socjalizmu, sposób, który bym nazwał podchodzeniem „przez kuchenne schody“. Polega on na wulgarnym, dosłownym interpretowaniu pojęć: „materializm“, „materialistyczny“. Socjalizm, wedle tej interpretacji, to po prostu kult żołądka, ideologia brzucha, wroga wszelkim wznioślejszym dążeniom. Nie należy mniemać, jakoby pogląd taki właściwy był jedynie kuchtom i typom z zakrystii; jest wielu — żal się Boże! — intelektualistów“ (w rodzaju p. Jerzego Brauna), którzy też tylko tyle mają do powiedzenia o socjalizmie, jednym z najpotężniejszych dotąd w dziejach prądzie umysłowym i społecznym. Rzecz prosta, na takim poziomie trudno prowadzić dyskusję.

Przyznaję obiektywnie, że p. Piasecki zwalcza socjalizm w sposób daleko bardziej pomysłowy, powiedziałbym nawet: wyrafinowany. Tym razem jednak zastosował chwyt, niestety, z gatunku „kuchennych“. Gdy marxista powiada, że socjalizm „ma ideał“, jest to dla p. Piaseckiego jedynie „znamiennym znakiem czasu“, a ten „znak“ oczywiście znaczy, że socjalizm nigdy nie przyznawał się do „ideałów“, dopiero teraz na gwałt czynić to zaczyna, zapewne, aby tym skuteczniej konkurować z notorycznym „idealizmem“ endeków... Z rozumowania p. Piaseckiego wynika niedwuznacznie dość niezwykle

wniosek: ideały ma ten, kto mówi o „idealizmie!“ A ja bym powiedział raczej: wystrzegajcie się programowych, czy zawodowych (bywają tacy!) „idealistów“ — w 90-ciu wypadkach na sto są to spryciarze, znający doskonale cenę swojego towaru! Nie ma interesu, indywidualnego czy społecznego, choćby najbardziej brudnego, który by nie dał się przystroić w najwznioślejsze „imponderabilia“. Znamy to, znamy — ale nie o to tu chodzi. P. Piasecki zwerksłował sprawę na tory, jak wspomniałem, wulgarnej gry pojęć: „materializm“ — „idealizm“, choć sam rozumie, że w tej płaszczyźnie tylko analfabeci mogą „załatwiać się“ z socjalizmem. Spróbuję tedy przestawić zwrotnicę na tor właściwy.

W jakim znaczeniu współczesny, tzw. naukowy socjalizm jest „doktryną materialistyczną?“ W znaczeniu metody badania i poznawania rzeczywistości społecznej. Od innych nauk różni się jednak w tym, że, nie poprzestając na poznawczej analizie stosunków społecznych, pragnie ponadto te stosunki zmienić, przebudować i daje w tym kierunku jasne, logiczne koncepcje konstruktywne. Oto, dlaczego socjalizm-wiedza stał się zarazem socjalizmem-światopoglądem, mianowicie światopoglądem warstw społecznych, dążących do wyzwolenia, do przebudowy ustroju. W tym sensie nawiązał marxizm do nieprzedawnionych, najszczytniejszych i deałów ludzkości, stał się spadkobiercą i kontynuatorem wszystkich historycznych walk o społeczną sprawiedliwość. W tym sensie rodowód socjalizmu sięga głęboko w dzieje, aż do czasów starożytnych, do heroizmu Agisa i Spartakusa, do komunistycznej ideologii społecznej pierwotnego chrześcijaństwa; korzenie jego odnaleźć można w każ-

dej epoce, i zawsze tam, gdzie — obojętne, w jakim doktrynalnym ujęciu — ruch uciśnionych i wydziedziczonych dochodził do głosu. A kapitalne znaczenie marksizmu polega na tym, że on instynktom wyzwoleniczym mas ludowych dał oręż wiedzy społecznej, że strukturę stosunków międzyludzkich krytycznie przeniknął, prawią, rządzące ich rozwojem, przejrzał, i z praw tych wywiódł pozytywny program — świadomego kształtowania bytu społecznego. Że, jak to właśnie powiedziałem, odwieczne idee najwznioślejszych „marzycieli“ i najmężniejszych bojowników człowieczeństwa „mocno ugruntował w realnych siłach rozwojowych ludzkości“.

A wreszcie — po cóż dowodzić „ideowości“ socjalizmu? Aż nadto mówią o niej — jego dzieje. Niech p. Piasecki wskaże mi inny ruch społeczny, który by równie długotrwałą i równie heroiczną miał historię — nie w jednym tylko, ale we wszystkich niemal krajach europejskich, jak również w wielu poza-europejskich. Niech p. Piasecki znajdzie w nowszych dziejach prąd ideowy, który by, w równej skali czasowo-przestrzennej, tyle co socjalizm posiał b o h a t e r s t w a, zarówno masowego jak indywidualnego. Więzienia, szubienice, salwy na wielkomiejskich placach, oraz codzienne, bezimiennie męstwo walk podziemnych — chyba p. Piasecki słyszał cośkolwiek o tym wszystkim, w historii i w dobie obecnej? A w takim razie — czy marxiści muszą aż „osłaniać“ socjalizm tym, że on „ma ideał?“ Czy proste, bez powoływania się na patentowany „idealizm“, lakoniczne stwierdzenie ideowości socjalizmu — to na prawdę jedynie „znamienny znak czasów, w których żyjemy?“ Czy p. Piasecki sam nie widzi pewnej niewspół-

mierności swych słów wobec zjawiska, do którego je odnosi?

Tyle co do „ideałów“. Pozostaje kwestia drugiego z moich zdań, które p. Piasecki na swój sposób zdyskontował, — zdania, że międzynarodowy socjalizm jest w istocie swojej „bardziej narodowy, niż nacjonalizm“. P. Piasecki uważa to za „osłanianie“ — socjalizmu — „hasłami narodowymi“. Otóż rzecz w tym właśnie, że nacjonalistom chodzi o „hasła“ narodowe, o szyld jaskrawy, gdy nam, socjalistom, o treść przede wszystkim. Treść też mając jedynie na uwadze, ustalić można, co następuje:

1) Nacjonalizm jest ideologią mieszczańską, przez mieszczaństwo XIX wieku wprowadzoną do historii. Podstawowe warstwy narodu w przeważającej swej masie nie podzielają z burżuazją uczuć nacjonalistycznych: robotnicy — na ogół świadomie, chłopci — raczej instynktownie. Nacjonałści nie reprezentują interesów narodu; wręcz przeciwnie, wyrażają interes swej klasy, sprzeczny z interesami mas ludowych. Ultra-nacjonalistyczny hitleryzm, idąc do władzy, dla pozyskania mas szermował radykalną anty-kapitalistyczną frazeologią społeczną; zdobywszy władzę, odrzucił „program społeczny“ jak szmatę, utwierdził dyktaturę kapitału na spętanym ciele ludu niemieckiego. Faszyzm włoski — tak samo. W Polsce, nacjonalizm endecji zawsze był na usługach burżuazji i obszarników; w społecznych i narodowo-wyzwolenczych walkach z caratem robotnik i chłop polski zawsze mieli przeciw sobie obóz „narodowców“. Dziś — odmłodzona endecja je płony chleb opozycji; nie uczestnicząc we władzy, anty-ludo-

we swoje oblicze przesłania grymasem radykalizmu; w ten sposób również wysługuje się burżuazji.

2) Nacjonalizm jest anty-humanistyczny i głęboko amoralny. Potencjalne siły nienawiści są w nim daleko większe, niż żywioł miłości, o której pięknie deklamuje p. Korolec. Prawdziwie kochać własny kraj, szanować własny naród, może tylko ten, kto uznaje równe prawo innych krajów i narodów — do miłości i szacunku. Nacjonalizm jest objawem z wyrodnienia instynktu narodowego. Nacjonalizm jest antynarodowy, bo z reguły uznaje prawo własnego narodu (czytaj: własnej klasy panującej) — do podbijania i eksploatowania, a nawet wynaradawiania innych słabszych narodów. Podkreślam: słabszych, bo wobec możniejszych potencyj nacjonalizm jest zawsze tchórzliwie ugodowy (przykładem znowu: stara polityka endecji wobec caratu!). Nacjonalistyczny faszyzm włoski, po trzynastu latach programowego zgrywania się na „heroizm“, pokazał wreszcie swój czyn „heroiczny“: sam zmilitaryzowany po zęby, z całą olbrzymią przewagą nowoczesnej maszynarii wojennej — wybrał sobie za przeciwnika prymitywną, źle zorganizowaną, nędznie uzbrojoną Abisynię, a i tam nawet obejść się nie może bez posiewu zdrady, bez „heroicznego“ przekupywania co podlejszych „rasów...“ Rzecz prosta, aplauz nacjonalistów we wszystkich krajach (także w redakcji „Prosto z mostu“) — zapewniony.

Oto, dlaczego miałem prawo powiedzieć, że socjalizm jest „doktryną bardziej narodową, niż nacjonalizm, bo nie rzucającą narody przeciw narodom, ale postulującą sprawiedliwość społeczną i pełnię życia kulturalnego dla najliczniejszych, pracujących mas naro-

du". Socjalizm nie jest i nie był nigdy negacją istotnych pierwiastków narodowych — dowodem znane stanowisko Marxa i Lenina wobec walk narodowo-wyzwoleńczych, m. in. także wobec polskiej sprawy niepodległościowej. Socjalizm jest przewyciężeniem uczuć szowinistycznych, antyhumanistycznego nacjonalizmu, który prócz zbrojeń imperialistycznych, prócz stałej groźby katastrof wojennych, nigdy niczego nie dawał masom ludowym narodu. Socjalizm żadnego narodu nie uważa za „najlepszy“, lecz chce z naprawdę najlepszych, najwartościowszych składników wszystkich kultur narodowych zharmonizować pełną, humanistyczną, wszechludzką cywilizację.

Takie są i d e a ł y socjalizmu i jego, nie krzykliwe „hasła“, lecz głęboka, istotna t r e ś ć narodowa na dnie treści l u d z k i e j — szanowny panie Stanisławie!

P. S. Pragnę przypomnieć p. Piaseckiemu, że on sam wypowiedział kiedyś osąd, potwierdzający moje powyższe wywody. W recenzji z wystawionego na scenie „Kordiana i chama“ napisał m. in. te słowa: „Jest (w „Kordianie i chacie“) gorzka jak piołun prawda narodowa. I choć gdzieś głęboko... wyczuwa się pomocnicze rusztowania dialektyki marxowskiej, prawda narodowa, właśnie n a r o d o w a, na przekór założeniu autorskiemu pokrywa je bez reszty“. Mógłbym zgodzić się z powyższym zdaniem, wnosząc jednak następującą poprawkę: właśnie spojrzenie na dzieje ze stanowiska s o c j a l i s t y pozwoliło mi wydobyć z nich tę prawdę n a r o d o w ą, którą w utworze moim dojrzał p. Piasecki. Nie „na przekór założeniu“ wyszła ta prawda, lecz raczej — dzięki założeniu.

Walczące ideologie społeczne toczą swe nurty i nurciki w dwóch zazwyczaj, równoległych do siebie łożyskach: ścisłych i bezpośrednich działań polityczno-organizacyjnych oraz luźniejszych znacznie poczynąń kulturalno-twórczych. Pierwsze w niemałym stopniu mogą być świadomie i planowo kształtowane wolą jednostek działających, tym skuteczniej, im szczerzej dana ideologia utrafia w interesy i nastroje mas. Z drugimi sprawa jest znacznie trudniejsza. Można próbować jednym manifestem politycznym stworzyć z dnia na dzień wielki ruch masowy (choćby prawdziwie wielkie ruchy społeczne nigdy z dnia na dzień nie powstają!), niepodobieństwem jednak w ten sam sposób wyczarować dlań wielką — na przykład — literaturę.

Niemniej, każdy z występujących na arenę dziejową ruchów zbiorowych pragnie mieć „swoją” twórczość kulturalną, „swoją” literaturę, „swoją” sztukę. Ambicje w tym kierunku mogą być mniejsze lub większe. Ale ambicje nie wystarczą. Charakter ruchu decyduje przede wszystkim. Kulturotwórczym klimatem — z tym chyba zgodzą się wszyscy — jest wolność. Więc jedynie ruchy społecznie wolnościowe niosą w sobie nie tylko ambicje, ale i rzeczywiste możliwości rozkwitów kulturalnych. Ideologie wsteczne, anty-wolnościowe, z góry skazane są na bezpłodność kulturalną. Nawet wtedy, jeżeli rozporządzają „swoimi” talentami, zdobywać się mogą co najwyżej na jednodniowy „doro-

bek“, w którym — jak w krzywym zwierciadle — ich treść kłamliwa i szalbiercza odbija się daleko wierniej i prawdziwiej, niż w megafonach oficjalnych programów i haseł. Twórczość kulturalna bowiem jest najbardziej bezlitosnym sprawdzianem prawd i zakłamań ideologicznych. Jej instrumenty są niezwykle czułe, każda prawda wybrzmiewa w nich pełnym, przejmującym głosem, każdy fałsz obnaża się jaskrawo i ostro.

Powyższe uwagi nasunęły mi się po przeczytaniu wydanej niedawno książki W. J. Grabskiego p. t. „Na krawędzi“. Jej autor jest czołowym, a — ściślej biorąc — jedynym „programowym“ beletrystą ONR-u. Dotychczasowe jego trzy powieści, to właściwie cały literacki (w prozie) dorobek tego ruchu, który — parę lat temu dość efektownie zrodzony niemal z dnia na dzień — zapowiadał się nader zamasyście i obiecująco, a dzisiaj, rozbity na kilka zajadle skłóconych frakcyjek, зда-je się kończyć krótką polityczną karierę w gościnnych przystaniach nowego obozu...

W pewnym sensie więc twórczość p. Grabskiego uważać można za „reprezentatywną“. Dotyczy to szczególnie ostatniej jego książki, powieści o symbolicznym poniekąd tytule: „Na krawędzi“. Ba, zwłaszcza skoro komiliton autora, redaktor „Prosto z mostu“, Stanisław Piasecki, dopatrywał się w tej książce — ni mniej, ni więcej, tylko „p r a w d y m ł o d e g o p o k o l e n i a“ — tym bardziej wypada zająć się nią bliżej, aby zobaczyć, jak to ta „prawda“ wygląda w oczach ideologów „narodowo-radykalnych?“

Jacek Nowicki, akademik, syn solidnej mieszczańskiej rodziny warszawskiej, wyjeżdża za granicę, celem leczenia gruźlicy. Sławny specjalista wiedeński umiesz-

cza go w pierwszorzędnym sanatorium dra Wolfa (zresztą — semity, w myśl przysłowia: jak bida, to do żyda...). Stan płuc młodego „narodowca“ po pewnym czasie poprawia się wydatnie, zupełne wyzdrowienie jest tylko kwestią czasu. Zdawałoby się, że Jacuś ze swej strony — przez lojalne poddanie się dyscyplinie kuracyjnej — uczyni wszystko, aby ten czas przyspieszyć jak najbardziej — do licha! w kraju czekają na niego wielkie sprawy: boje o ławki żydowskie w uczelniach, o stragany w Ryczywole i Przytyku, o paragrafy aryjskie...

Cóż, kiedy młodzian po paru miesiącach znudził się monotonią reżimu sanatoryjnego, pewnego dnia spakował kufry i przeniósł się do bardziej atrakcyjnego Davos. Tam już — ponieważ stan zdrowia dostatecznie się poprawił — urządza się zupełnie inaczej; wynajmuje 3-pokojowe (sic!) mieszkanie, angażuje młodą Szwajcarkę, jako dziewczynę „do wszystkiego“, wchodzi w wesołe towarzystwo podobnych sobie kuracjuszków i kuracjuszek z socjety międzynarodowej pluto- i arystokracji, no — i z temperamentem urodzonego bursza zaczyna się puszczać. (Mamunia regularnie przysyła z Warszawy spore sumki, potrzebne synalkowi na intensywną „kurację“ szwajcarską...). Oczywiście: alkohol, kobiety, szaleństwa. Na domiar szczęścia przyjeżdża z kraju kochanka Jacka, wytworna i światowa, również pełna temperamentu, pani Kira Gorycka.

Nic dziwnego, że w tych warunkach rezultaty wielomiesięcznej kuracji wiedeńskiej przepadają, podleczonego choroba wybucha z powrotem i tak gwałtownie powala młodzieńca na łożo, iż znakomici lekarze rezygnują już z ratunku wobec oczywistej i nieodwołalnej już — ich zdaniem — katastrofy, zwłaszcza, gdy oprócz galopują-

cej gruźlicy pewnego dnia występują u chorego nagle objawy ostrego zapalenia ślepej kiszki...

I otóż właśnie: w momencie, kiedy chwile Jacka są już policzone, pani Kira błyskawicznie wyjeżdża do Lourdes, skąd przywozi konającemu buteleczki „cudownej wody“. Chory wypija — i następnego dnia lekarze stają w osłupieniu: nie tylko „appendicitis“, ale i groźne procesy w płucach ustąpiły, jak ręką odjął! Jacek po prostu w oczach powraca do zdrowia, w kilka tygodni po „cudzie“ widzimy go już w pociągu: wraca do kraju, aby się rzucić w wir wiadomej „działalności“...

Taka jest treść książki p. Grabskiego o rzekomej „prawdzie młodego pokolenia“. Przecieramy oczy. Hola, panowie! Któż to właściwie reprezentuje tu tę „prawdę“? Kto? Jacek Nowicki? Ten paniczyk, z dość grubymi — jak na nasze stosunki — pieniędzmi, szastający się po eleganckich zagranicznych uzdrowiskach i prowadzący tam, pod pozorem leczenia gruźlicy, wesoły i urozmaicony żywot w gronie różnojęzycznej „elity“ burżuazyjnej? Ten piękniś, trawiący w Davos resztki zdrowia na erotyce i pijaństwie, organizator orgii, przepłatanych snobistycznymi dyskusjami na tematy... religijne — on ma być przedstawicielem „prawdy młodego pokolenia?“

Za pozwoleniem! Przestańcie już raz panowie, mówić o jakimś bezprzymiotnikowym „młodym pokoleniu“. Nie okłamujcie bliźnich, a przede wszystkim — samych siebie! Mówcie wyraźnie i ściśle o swojej prywatnej „prawdzie“ młodego pokolenia burżuazji, wytwornych pań Goryeckich i panów Nowickich, szwendających się po Europie slipingów i hoteli, modnych kurtortów, Davosów i Lourdesów! P r a w d a (bez cudzy-

słowo) olbrzymich mas młodego pokolenia w Polsce wygląda zupełnie, ale to zupełnie inaczej — i książka p. Grabskiego nie ma z nią nic, absolutnie nic wspólnego!

Od razu więc — w imię zwykłej uczciwości — ustalmy ściśle, ściślej, niż to uczynił p. Piasecki, że autor „Na krawędzi“ jest piewcą i rzecznikiem „prawd“ cienkiej bardzo warstewki młodzieży społecznie u p r z y w i l e j o w a n e j. Z tych „prawd“ najusilniej reklamowana jest — jak wiadomo — „prawda“ o tzw. „odrodzeniu religijnym“ młodzieży burżuazyjnej. I właśnie — przede wszystkim! — tej „prawdy“ świadectwem ma być książka p. Grabskiego. Otóż wydaje mi się, że to świadectwo wypadło dość niefortunnie.

Zważmy bowiem: W pierwszej części powieści wszystko wskazuje na to, że Jacek Nowicki, dzięki troskliwej opiece znakomitych lekarzy, wcześniej czy później odzyska całkowicie zdrowie, tak cenne dla kraju — zwyczajnie, drogą umiejętnego leczenia. Ba, ale to byłoby zbyt proste, zanedbano „materialistyczne“ rozwiązanie — i wcale nie dawałoby świadectwa „prawdzie młodego pokolenia“. P. Grabskiemu potrzebny był „cud“, interwencja sił nadprzyrodzonych. Ażeby to osiągnąć, każe swojemu bohaterowi — ot! — przerwać leczenie i uczynić wszystko, co tylko się da, aby w przeciągu paru tygodni nie tylko zniszczyć zupełnie jego dotychczasowe pomyślnie rezultaty, ale wręcz doprowadzić się do stanu, w którym rzeczywiście nic już nie może uratować życia, jak tylko bezpośrednia interwencja „opatrzności“, cud bez cudzysłowu.

To, co Jacek wyrabia w Davos, jest: po pierwsze — zbrodniczą głupotą z punktu widzenia jego własnej oso-

bowości, powtóre — odrażającą nieuczciwością w stosunku do matki, którą młody człowiek po prostu oszukuje w najtkliwszych jej uczuciach. Ale cóż, Jacek robi jedynie to, co mu kazał autor. Otóż, wydaje mi się, że ta gruba i bezceremonialna lekkomyślność, z jaką p. Grabski prowokuje dla swego bohatera „cud“ i związane z nim przeżycia religijne, powinna być czymś głęboko zawstydzającym właśnie w odczuciu człowieka religijnego.

Bo ostatecznie — dlaczego cud ma być premią dla głupoty i nieuczciwości? Dlaczego cud właśnie dla bubka, postępującego w myśl zasady: na złość mamie, niech mi uszy zmarzną? Dlaczego angażować „szczególniejszy akt opatrności“ w sprawę, która — uczciwie biorąc — leżała przecież bądź co bądź w ludzkiej mocy? Powiedzmy otwarcie: cała koncepcja powieści p. Grabskiego jest prymitywna i niesmaczna. Choć umieszczona w środowisku wytwornych pań i panów, ma w sobie coś z odpustowej jaskrawości kalek, obnażających efektownie schorzałe kikuty łakomym wszelkiego dziwu oczom pobożnej gawiedzi. Aby zdać sobie sprawę z tego, wystarczy porównać „Na krawędzi“ z koncepcjami katolickich powieści Bernanosa czy Mauriaca.

Jak widzimy — i jak już wspomniałem — w najważniejszym swoim punkcie „prawda młodego pokolenia“ burżuazji polskiej wypadła w książce p. Grabskiego raczej niefortunnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że książka jest zakłamana. Owszem, jest ona bardzo, autentycznie szczerą — miejscami aż do cynizmu szczerą. Jest to oczywiście szczerłość mimo woli, szczerłość demaskująca. Już sam fakt, że powieść, napisana przez nacjonalistę, rozgrywa się w środowisku kosmopolitycznej

burżuazji, oraz, że jej bohater-oenerowiec obwozi swój „radikalizm“ akurat po wytwornych kurortach zagranicznych — już samo to jest wielce znamienne.

Oto, co mówi o tym sam „narodowy“ Jacek do poznanej w Davos pięknej i bogatej Szwedki, p. Swanson: „W Polsce tęskniłem do świata... Polska jest krajem żyta i kartofli, a ja tęskniłem do orchidei, do rzadkiego, pięknego, ciepłarnianego kwiecia“. Pięknie, pięknie! Zapamiętamy sobie te orchideiczne tęsknoty bubka, który — zdaniem p. Piaseckiego — reprezentuje „prawdę młodego pokolenia“ w kartoflano-żytniej Polsce...

Powiedziałem, że książka p. Grabskiego jest szczerą „miejscami aż do cynizmu“. Oto przykład — takie konkluzje Jacka w rozmowie z matką o wojnie:

„I dla gruźlików mogłoby się znaleźć w niej (tzn. w wojnie) miejsce. Byle tylko umieli prowadzić samolot. W górze jest zdrowe powietrze; można naładować maszynę aż po uszy (?) piroksyliną i poszybować nad stolicę. Byle dolecieć, a potem — spuścić się na łeb na szyję. Jeden gruźlik straszne szkody może wyrządzić...“.

Takie to arcy-chrześcijańskie słowa wypowiada kochany Jacuś — w kilka dni po „cudownym“ uratowaniu mu życia przez opatrność! Głupota czy zwyrodnienie? Nie, to tylko „prawda młodego pokolenia“, tego, które — jak brzmią ostatnie słowa powieści p. Grabskiego — chce budować „lepszą Polskę...“.

Na razie jednak niechby choć polszczyzna była lepsza w tej „narodowej“ powieści. Takie zwroty, jak: „przekonać niedowiarka w istnienie duszy“ (zamiast: o istnieniu duszy), albo: „rzucali się (!) śnieżkami“, nie mogą być tolerowa-

ne nawet w kraju „żyta i kartofli“. Z pornografią także nie jest do twarzy katolickiemu autorowi, zwłaszcza z tak niedowcipną i trywialną, jak te słowa hrabiego Niewiórskiego na str. 62 „Na krawędzi“ (mowa o namiętnej Rumunce, która ma dwóch kochanków): „Ona jest wierna nie komuś, tylko c z e m u ś, a Kranz może mieć to c o ś nie gorsze od Węgra...“. Ryzykowność tego i paru innych jeszcze erotycznych ustępów w powieści p. Grabskiego uznała snąć sama księgarnia św. Wojciecha, która wydała „Na krawędzi“, skoro książka zaopatrzona jest na karcie tytułowej w odcisniętą dyskretnie stampilę: „Książka nie dla każdego...“. Fe, to nie ładnie, żeby młodzi narodowcy pisali książki, zmuszające katolicką firmę do użycia takiej wstydlivej formułki, która zresztą — obiektywnie biorąc — może być także subtelnym sposobikiem reklamowym...

DULSZCZYŻNA „ROBI HISTORIĘ...”

Równo trzydzieści lat temu urodziło się w literaturze polskiej słowo, które w ciągu krótkiego czasu zrobiło dość rzadką karierę: przekroczyło granice literatury i weszło do języka potocznego, gdzie utrzymuje się po dziś dzień jako lapidarna, zwięzła, jak znak chemiczny, formuła, jedna z formuł rzeczywistości społecznej. Trzydzieści lat temu powstała „Moralność pani Dulskiej”, „tragikomedia kołtuńska” Gabrieli Zapolskiej — i od-tąd pojęcie „dulszczyzny” stało się niemal kategorią naszego myślenia socjologicznego. Genialna pasja wielkiej pisarki narzuciła nam to pojęcie raz na zawsze; nie przypuszczała jednak, doprawdy, w jakich okolicznościach nabierze ono kiedyś — dzisiaj właśnie — nowego wigoru.

„Dulszczyzna” czyli „kołtuństwo”: nie sądzicie, że to tylko epitet obelżywy. „Dulszczyzna” oznacza coś więcej — całą formację społeczną, wytworzoną w końcowych stadiach rozwoju kapitalizmu. Nie ma ona nic wspólnego z masami plebejskimi epoki rewolucji francuskiej. Zjawia się i rozrasta gwałtownie — niepomier- nie szybciej, niż inne warstwy społeczne — na początku naszego stulecia i w dobie, bezpośrednio poprzedzają-cej wojnę światową, przeżywa swój okres „klasyczny”. W tym okresie osadza się ekonomicznie w porach go- spodarki kapitalistycznej; w tym okresie kształtuje swo- ją „ideologię”, swoją „postawę” wobec świata: pełną re- spektu wiarę w ustrój, niechęć i pogardliwy stosunek

do mas ludowych (z których zresztą w pewnej mierze się wywiodła...), kult frazesu nacjonalistycznego (ew. także imperialistycznego), swoistą „dulską“ moralność, a przede wszystkim najistotniejszą swoją zasadę psychiczną: instynktowną aspołeczność, brak realnego poczucia jakichkolwiek więzi zbiorowych; co zresztą nie jest bynajmniej równoznaczne z brakiem pewnych ambicji politycznych; ale ambicjom tym w zupełności wystarczały stronnictwa raczej krzykliwe, niż potężne organizacyjnie, nie prowadzące żadnych masowych akcji, ale za to odznaczające się dużą giętkością politycznych kręgosłupów — stronnictwa typu naszej przedwojennej endecji, wzorowej partii polskiego kołtuństwa.

Klasyczny okres „dulszczyzny“ zamknęła wojna światowa. Przemiany, jakie ona wywołała, nie oszczędziły — rzecz prosta — tej warstwy społecznej. To prawda, że pierwsze lata powojennej odbudowy raczej wzmogły ją liczebnie, ale daleko ważniejsze były procesy psychiczne, wywołane zaczynającym się równocześnie kryzysem samych podstaw ustrojowych. Głębokiemu zachwianiu uległa przede wszystkim dotychczasowa ufna wiara „kołtuna“ w trwałość i doskonałość kapitalistycznego „porządku“. Wzmogła się zarazem tradycyjna niechęć do mas ludowych, zwłaszcza zaś obawa przed narastającym zorganizowanym ruchem robotniczym, aspirującym do roli politycznego hegemonu epoki. Natężyła się znacznie histeria nacjonalistyczna, szczególnie w najjaskrawszej swej postaci antysemityzmu. Rozkładowi uległa wreszcie tradycyjna kołtuńska moralność, opadły z niej ostatecznie nawet te pozory, których utrzymywanie wobec świata było jeszcze zbożną troską pokolenia mamy Dulskiej.

Jedno tylko nie uległo zmianie: zasadnicza społeczność postawy duchowej, religia komórkowego egoizmu, organiczny brak poczucia istotnych więzi zbiorowych, właściwy tej formacji społecznej, która nigdy w kolektywnym współdziałaniu, lecz zawsze w brutalnym współzawodnictwie widziała całą swoją kramarską mądrość życiową: mądrość życiową tzw. „stanu średniego“. Ten instynkt wilczy zaostrzył jeszcze swoje pazury w miarę postępującej fali kryzysu gospodarczego, w miarę kurczenia się ekonomicznych możliwości kapitalistycznego żerowiska.

I oto pewnego dnia „kołtun“ ubojowił się politycznie. Z czterech ścian swojego społecznego bytowania wyszedł — na ulicę. Zaktywizował swoje rozczarowanie do ustroju, z którym jeszcze wczoraj czuł się związany na śmierć i życie; uświadomił tlejącą w sobie zawsze niechęć do proletariatu, rozognił swoje xenofobie, rozwścieklił swój antysemityzm, wyzwolił całą swą nicość moralną, całą „dulszczyznę“ duchową — i zaczął „robić historię!“

Stał się klientem faszyzmu. Najistotniejszym składnikiem jego „bazy masowej“.

Ach, i doprawdy, okazało się, że on właśnie — kołtun — zdolny jest, jak nikt inny, tworzyć „wspólne fronty“: wspólne fronty całego kołtuństwa. On właśnie — jak nikt inny — potrafi demonstrować (bez narażania się na kule...) ciemny żywioł swej solidarności. Będzie to bowiem zawsze solidarność najłatwiejsza, najprymitywniejsza, zoologiczna solidarność nienawiści i negacji. Będzie to zawsze ten sam mroczny front solidarności, którego uskrzydloną rakieta — napis „Bij Żyda“, dzieło bezimiennej ręki, w ciemnościach nocy nakreślone kredą

na parkanie. Będzie to zawsze front motłochu, także motłochu w dobrze skrojonych ubraniach, motłochu z cenzurem „wykształcenia...”.

Lecz poza granicami nienawiści i negacji kończy się solidarność kołtuna. Zważmy jaka różnica: proletariatu, jeśli nienawidzi, to dlatego, aby — zburzywszy nienawistne zło — budować życie nowe, lepsze... Kołtun, gdy nienawidzi, to dlatego, aby bronić swojego śmietnika. Tam, gdzie rozbrzmiewa ochrypły krzyk „Bić“, jedyne hasło, tam staje z całym kołtuństwem ramię przy ramieniu. Ale przyjrzyjcie mu się, gdy po skończonych działaniach „ideowych“ wraca na swoje podwórko!

Chcecie przykładów? Ulica, przy której mieszkam, szczyli się posiadaniem czterech sklepików spożywczych — „chrześcijańskich“. Ich właściciele wszyscy czytują ten sam „narodowy“ dziennik, wszyscy bywają w tym samym kościele, wszyscy należą do tej samej bojowo antysemitkiej organizacji kupieckiej; ach, czyż potrzeba dodawać, że wszyscy „z całej duszy“ uwielbiają generała Franco! A jednak wiem doskonale, że wszyscy czterej stanowią zespół ludzi, z których każdy, z osobna wzięty, w łyżce wody utopiłby trzech pozostałych! Ileż intryg konkurencyjnych rozwijają między sobą, z jaką zawiścią w oczach każdy z nich, stanawszy przed własnym sklepikiem, patrzy na trzy sąsiednie „interesy!“

Powiecie: handel. Handel demoralizuje... A zatem inny przykład: dwóch lekarzy „aryjczyków“ w pewnej miejscowości klimatycznej. Obaj klerykalni „narodowcy“, obaj zaciekli antysemita, zwolennicy „aryjskich paragrafów“, obaj solidarni w nienawiści do miejscowej organizacji socjalistycznej — i obaj, każdy z osobna, ży-

wią względem siebie to samo skryte, gorące pragnienie: żeby tego drugiego już raz diabli wzięli!

Jest w sztuce Zapolskiej, w akcie pierwszym, taki moment: mama Dulska, bolejąc nad lekkomyślnym i „nie-moralnym“ życiem swego jedynaka Zbyszka, hulaki, trochę już zblazowanego, rzuca w przystępie wzburzenia takie oto, pełne grozy słowa:

— To się tak skończy, że ty jeszcze do socjalistów przystaniesz!

— Za głupi jestem na to! — odpowiada młody człowiek, wyrażając tym gorzkim zdaniem pełną świadomość fatalnego dziedzictwa „dulsczyzny“, którą gardzi, lecz której w końcu ulegnie. Ten neurasteniczny sarkazm młodego, obrzydzonego samym sobą „kołtuna“, należy już do odległej przedwojennej przeszłości.

Dziś — „kołtun“, zagrożony bankructwem wszystkiego, w co wierzył, wyszedł na arenę dziejów. Z czterech ścian „dulskiej“ egzystencji wyszedł na ulicę i napełnił ją rykiem hysterii politycznej. Wrzeszczy do was na każdym rogu tytułami swoich „Jutr“, „Gońców“ i „Orędowników“. Bije szyby w żydowskich sklepach. Strzela z tyłu do starców i dzieci. Rozwala gabinety naukowe na wyższych uczelniach. W krakowskiej fabryce farb napada na strajkujące robotnice. Odbywa słynne „pielgrzymki...“ Węszy i szczuje, judzi i zabija. Zatrzuwa źródła człowieczeństwa.

„Zdynamizował się“. Ubojowił. „Uideowił“. Mówi o „rewolucji narodowej“.

Jeśli chcecie zrozumieć psychologiczną istotę faszy-

zmu, pamiętajcie z czego wywodzi się jej rodowód:
z „dulszczyny!”

„Kołtun” wyszedł na scenę i pragnie „robić historię”.

— — — — —

Nie zrobi jej na pewno!

W KLIMACIE DYKTATORY.

„Dyktatury wydają się bardziej potężne, niż są w rzeczywistości, kraje demokratyczne przeciwnie, wydają się mniej potężne, niż są naprawdę“.

(J. M. Keynes)

Wypisane powyżej jako motto niniejszych rozważań zdanie znanego ekonomisty angielskiego jest jednym z tych zdań, w których zwięzłość i powściągliwość słowa idzie o lepsze z rozmiarem i wagą treści. Takie zdania cenne są nie tylko same w sobie, lecz bodaj w większym jeszcze stopniu dzięki właściwej im zdolności otwierania perspektyw myślowych. Cóż dopiero, gdy — jak w tym wypadku — chodzi o jedno z najdonioślejszych, najbardziej nurtujących mózgi ludzkie zagadnień naszego czasu: o zagadnienie właściwych, słuszných ocen potęgi tych dwóch wrogich sobie światów, których przewidywane powszechnie starcie zadecyduje o przyszłości świata.

„Dyktatury“ i „demokracje“: te dwa pojęcia, zastosowane do mapy współczesnej Europy, oznaczają coś więcej niż tylko różne formy ustrojowe; oznaczają przede wszystkim różnicę klimatów duchowych, w jakich oddychają milionowe masy ludzkie. Między klimatem dyktatur a klimatem demokracji istnieje stan potencjalnego napięcia, które wcześniej czy później może się wyładować w walnej, frontowej batalii. Wydarzenia ostatnich tygodni¹ budzą aż nadto uzasadnioną obawę, że możliwość taka zbliża się coraz bardziej przyspieszonym krokiem. W tej sytuacji, rzeczywiście, zagadnieniem dnia,

¹ Artykuł ten pisany był wkrótce po „Anschluss’ie“ austriackim — p. a.

jednym z najżywiej odczuwanych, staje się kwestia o b r a c h u n k u s i ł — sił i zasobów, które pewnego dnia mogą być zmuszone do — działania.

Obrachunki tego rodzaju nigdy nie należały do łatwych. Dziś jednak towarzyszą im pewne trudności dodatkowe, wynikające z tego właśnie zjawiska, którego celne rozpoznanie i stwierdzenie znalazło wyraz w zacytowanym wyżej zdaniu J. M. Keynesa. Dyktatury powojenne, pod wielu względami tak bardzo różne od wszystkich innych znanych z historii form despotyzmu, w jednym przecież na pewno podobne są do starych, minionych absolutyzmów: w zdolności wytwarzania p o z o r ó w p o t ě g i. Ten fakt musi być wzięty pod uwagę, jeśli chcemy analizować problem siły dyktatur i sił demokracji w granicach jak najbardziej zbliżonych do rzeczywistości, bez płątania w rachunku pozycji fałszywych czy fikcyjnych.

Na czymże jednak polega owa, właściwa wszystkim ustrojom samowładczym i dyktatorskim „zdolność wytwarzania pozorów potęgi“ czyli jak gdyby pewnych efektów dodatkowych, ponad miarę rzeczywistej siły? Niewątpliwie, w pierwszym rzędzie przypisać ją należy samym już właściwościom ludzkiego myślenia. Wiadomo, że milion, skupiony w rękę jednego człowieka, stwarza w nas wyobrażenie potęgi pieniądza o wiele silniejsze, niż ten sam milion w rękach tysiąca osobników. Ta sama „optyka“ myślowa stanowi p s y c h o l o g i c z n y sekret wrażenia, jakie na większości ludzi wywierają ustroje autokratyczne. Ona to zdolna jest wytwarzać wrażenie, jakoby potęga władzy, skupionej w rękę jednego człowieka, oznaczała zarazem — sama przez się — potęgę danego społeczeństwa (państwa, ustroju). Wrażenie to, oczywiście, jest zgoła zwodnicze. Gdyby było

inaczej, to pierwsze lepsze państwko murzyńskie musiałoby być uznane za znaczniejszą siłę niż np. republika szwajcarska, ponieważ królik Niam-Niam może jeść swego poddanego na śniadanie, a prezydent Szwajcarii uczynić tego nie może. Spotykane nieraz rozumowanie: „Trzecia Rzesza, jest wielką potęgą, ponieważ a ż(!) władza Hitlera jest potężna“ — w gruncie rzeczy nie wiele różni się od poprzedniego.

Drugim, bardziej nawet od poprzedniego sugestywnym momentem, dzięki któremu autokracje i dyktatury wzmacniają wywierane przez się wrażenie potęgi, jest technika ich działań. Nie ma ona, co prawda, znaczenia decydującego, niemniej, swoją prostotą, zbliżoną do techniki czysto militarnej, sprawnie operującą wszystkimi elementami taktycznymi (zwłaszcza — „zakoczeniem“), stwarza efekty szczególnie błyskotliwe i jaskrawe. Czy jednak ta efektywność techniki działania, niewątpliwie zresztą umożliwiona właśnie przez krańcową koncentrację władzy, nie pochodzi głównie stąd, że jej mechanizm wewnętrzny jest dla nas s z c z e l n i e u k r y t y, niejawny? Wiele przemawia za tym, że „błyskotliwość“ działań narzuca dyktatorom to właśnie, co stanowi groźny zaród ich przyszłych katastrof: to, co można by nazwać p r z y m u s e m r y z y k a i h a z a r d u, nieuchronnym w każdej dyktaturze. Stwarza on, oczywiście, pole dla rozwijania talentów taktycznych (co już samo w sobie jest l o t e r i a !), ale wątpliwym jest, czy świadczy również o solidnym poczuciu rzeczywistej siły. Szachistów, siedzących na bagietkach, obowiązuje gra mistrzowska; błąd, choćby drobny i dla zwykłego gracza zgola nieszkodliwy, może ich kosztować — życie!

Atoli najważniejszym może czynnikiem wytwarzania pozorów potęgi, owych niejako dodatkowych premii wielkości i świetności, jest w rękach dyktatur to właśnie, co stanowi samą istotę ich bytu: zdławienie wszelkiej jawnej, swobodnie wypowiadającej się o p o z y c j i w e w n ę t r z n e j. Oczywiście, gdzie prócz obowiązkowych wrzasków na cześć samowładcy — „wodza“ nie słyhać żadnych innych głosów — krytyki, protestu czy buntu — tam łatwo, zwłaszcza w oczach postronnie patrzącego — powstaje złudne wrażenie bezgranicznej, fundamentalnej wszechpotęgi panującego ustroju. Złudne, bo tylko głupiec mógłby naprawdę uwierzyć w możliwość zupełnego i trwale skutecznego pętania żywych społeczeństw ludzkich — środkami mechanicznego rygoru. Złudne, lecz niemniej przecież sugestywne, zwłaszcza w oddziaływaniu na umysły prymitywne.

Jak widzimy, liczne i różnorodne są czynniki, którym ustroje dyktatorskie zawdzięczają swą — jeśli można tak powiedzieć — „nadwartość“ potęgi. Jest rzeczą jasną, że wszystkie one muszą być starannie eliminowane przy rozważaniu interesującego nas tu zagadnienia sił demokracji i sił dyktatur, o ile obraz wzajemnego tych sił stosunku, chcemy ustalić możliwie ściśle, trzeźwo i prawdziwie.

W danym wypadku obraz ten należałoby rozpatrywać w dwóch odrębnych aspektach: sił m a t e r i a l n y c h i sił m o r a l n y c h. Atoli, co się tyczy pierwszych, możemy stwierdzić od razu, że ich zasoby w żadnym kraju nie pozostają w bezpośredniej i widocznej zależności od aktualnie panującego ustroju, są bowiem rezultatem całych wieków rozwoju, danego społeczeństwa. W szczególności ustroje dyktatorskie, mogące stanowić — jak

wiemy z tylu doświadczeń historii — krótsze lub dłuższe, lecz zawsze tylko przejściowe epizody w życiu narodów, nie wywierają jakiegoś znaczniejszego, istotnego wpływu na rozwój i stan potencjałów gospodarczych. Wystarczy więc, jeśli — nie wchodząc w analizę przyczyn — stwierdzimy jedynie fakt bezsporny i powszechnie znany, że w dzisiejszym układzie stosunków kraje tzw. demokratyczne są pod względem zasobów materialnych, gospodarczych, surowcowych etc. — nieporównanie potężniejsze od krajów, objętych dyktaturami, w szczególności dyktaturami typu faszystowskiego. Kwestia ta nie jest właściwie zagadnieniem, które wymagałoby dyskusji.

Zagadnienie takie wyłania się dopiero jeśli na demokrację i dyktatury spojrzymy w aspekcie sił i zasobów **m o r a l n y c h** jakimi — zwłaszcza w momentach krytycznych — mogą dysponować te ustroje. Rzecz charakterystyczna, dyktatorzy współcześni sami nieraz otwarcie mówią o upośledzeniu swych narodów pod względem materialnym — czynią to jednak głównie dlatego, aby tym mocniej podkreślić ich rzekomą moralną potęgę, osiągniętą jakoby dzięki rządowi „autorytatywnym“. I bez tego jednak jest rzeczą oczywistą, że ustroje dyktatorskie wywierają głęboki i bezpośredni wpływ na psychikę zbiorową swych narodów. Cała rzecz w pytaniu, czy wpływ ten jest korzystny, dodatni — czy też, przeciwnie, destrukcyjny? Czy wzmacnia on i pomnaża siły moralne społeczeństwa — czy może — odwrotnie — siły te osłabia i umniejsza?

Zbytecznym byłoby przytaczać wszystkie aż nadto znane argumenty, jakimi rzecznicy dyktatur starają się dowodzić moralnej przewagi społeczeństw, rządzonych

autokratycznie, nad społeczeństwami demokratycznymi. Przewaga ta ma wynikać głównie z faktu „pacyfikacji” socjalnej i politycznej narodu, unicestwienia sporów wewnętrznych, partyjnych i klasowych, a w rezultacie — koncentracji wszystkich sił zbiorowości pod przewodnictwem jednolitej i trwałej woli kierowniczej. Otóż zasadniczym błędem w rozumowaniu dyktatorów jest ujmowanie życia zespołów ludzkich tak skomplikowanych i wielostronnych jak społeczeństwo cywilizowane — za pomocą pojęć i zasad, zaczerpniętych z organizacji tak odrębnej i jednostronnej, jak organizacja militarna. Jednolitość kierownictwa oraz dyscyplina i karność są uzasadnionymi podstawami moralności militarnej, kształtowanej wyłącznie dla jednego i wyjątkowego celu: dla walki. Społeczeństwo ludzkie, którego treścią istotną jest raczej *t w ó r c z o ś ć c y w i l i z a c y j n a* niż walka, tylko w wyjątkowych wypadkach i tylko przejściowo może — np. w razie bezpośredniego zagrożenia z zewnątrz — poddawać się prostym i twardym rygorom karnej, jednolicie kierowanej walki, przy czym jego prężność i siła moralna będzie bezspornie większa w wypadku, gdy te rygory nałoży sobie *d o b r o w o l n i e*.

Lecz dyktatury tylko w swych odezwach programowych operują pojęciami z zakresu moralności militarnej. W praktyce ustroje te posługują się — niemal z reguły — metodami, których nie mogłaby tolerować u siebie żadna szanująca się organizacja militarna. Przekreślając z zajądlą pasją najbardziej elementarne „prawa człowieka i obywatela” współczesne ustroje dyktatorskie bynajmniej nie wychowują przez to dobrego *ż o ł n i e r z a* — nawet żołnierza tej sprawy, której same służą.

Decydującym jest tutaj fakt, że wszystkie współczesne ruchy „totalistyczne“, zarówno panujące jak i aspirujące do władzy, — zaprawiały i zaprawiają swoje szeregi niemal wyłącznie w walkach z przeciwnikiem fizycznie słabszym lub zgoła bezbronnym. Ta okoliczność jest niezmiernie ważna. Z punktu widzenia właśnie „żołnierskiej“ moralności mamy tu do czynienia z wpływem jak najbardziej destrukcyjnym.

Dyktatury demoralizują jednak nie tylko swoje szeregi ściśle organizacyjne. Daleko groźniejsze są procesy, jakie pod ich ciśnieniem zachodzą w psychice całych społeczeństw. Rzecz znamienna: jednym z programowych założeń każdego systemu dyktatorskiego, zwłaszcza w okresie dążenia do władzy, jest idea uspokojenia społeczeństwa, uśmierzenia miotających nim namiętności politycznych czy socjalnych — i to te właśnie systemy w praktyce najusilniej dbają o to, aby rządzone przez się zbiorowości utrzymywać w stanie ustawicznego, wciąż za pomocą specjalnej, olbrzymiej aparatury podsycanego napięcia i podniecenia. W państwach dyktatur współczesnych odbywa się codzienna, monstualna w swych rozmiarach, rabunkowa wprost eksploatacja wrażliwości uczuciowej mas. I tu właśnie zaczynają się zjawiska najdonioślejsze ze stanowiska interesującego nas zagadnienia. Społeczeństwu, utrzymywanemu jakby w ciągłym transie, grozi — po krótkim stosunkowo czasie — niebezpieczeństwo strasznego wprost wyczerpania psychicznego, zubożenia, apatyzacji. Przed dyktaturą staje fatalna konieczność sięgania po coraz nowe — i coraz bardziej „końskie“ — zastrzyki pobudzające, co-

raz mocniejsze w miarę jak wrażliwość mas zużywa się i tępieje. Z czasem, łatwiejsze „domowe“ środki (antysemityzm!) przestają wystarczać, po nowe trzeba już wyjść na zewnątrz. Z pomocą (jakże zdradziecką!) przychodzi sprawna, do militarnej zbliżona, „błyskotliwa“ technika działania dyktatur. Ona to, zespolona z psychologiczną metodą szantażu, staje się reżyserem „sukcesów“ mniej lub więcej efektownych, a w każdym razie efektownie oprawionych. Niejednokrotnie podziwia się łatwość tych sukcesów, dostrzega się w niej właśnie znamiona potęgi. Otóż ta „łatwość“ jest szczególnie niebezpieczna — ona to dopełnia dzieła głębokiej demoralizacji mas społecznych, żyjących pod dyktaturą. Siłę moralną bowiem, hart psychiczny, osiągać można tylko przez trud, w ciężkim zmaganiu przeciwnieństw. Nad narodem, zaprawionym do łatwych sukcesów, zawisa straszliwa groźba, z której masy — codziennie upajane — same nie zdają sobie sprawy. Dyktaturę, jak wspomnieliśmy, bardziej niż jakąkolwiek inną formę rządzenia, obowiązuje mus sukcesów i — rzechy można — mus genialności. Atoli „łatwość“ sukcesów ma swoje, w końcu, granice, a „wódz“ nawet najgenialniejszy może pewnego dnia palnąć głupstwo, niefortunny ruch na szachownicy. I oto: pierwszy napotkany poważniejszy opór — pierwsze potknięcie się dyktatora, zastają jego społeczeństwo jak najmniej przygotowane moralnie, zhisteryzowane do gruntu; pierwsza porażka czy klęska, sama w sobie bynajmniej jeszcze nie katastrofalna, — i nerwy społeczeństwa „totalistycznie“ spreparowanego muszą odmówić posłuszeństwa!

Jeśli uwzględnimy jeszcze tę sumę niezadowolenia i nienawiści, jaką k a ż d a, zwłaszcza długotrwała, dyktatura wytwarza przeciw sobie w takich czy innych grupach i warstwach społecznych — trudno się oprzeć konkluzji, że w bilansie moralnego wpływu systemów dyktatorskich na masy pozytywne — destrukcyjne — nadewentualnymi dodatnimi przeważają w stosunku wprost przytłaczającym.

I bodaj, że z wymowy powyższego rachunku dyktatury współczesne — cokolwiek można by powiedzieć o gestach zewnętrznych ich samopoczucia — w pewnym przynajmniej stopniu zdają sobie sprawę. Charakterystyczne są w tym względzie koncepcje tzw. w o j n y b ł y s k a w i c z n e j, obmyślane dziś w kraju najpełniejszej, najbardziej „totalnej“ dyktatury: w Trzeciej Rzeszy. U źródła tych koncepcyj leży zupełnie wyraźne, choć oficjalnie niewyznane, założenie p e s y m i s t y c z n e j oceny sił — moralnych przede wszystkim! — własnego społeczeństwa; milczące uznanie jego ograniczonej odporności psychicznej, umniejszonej zdolności długotrwałego wysiłku, osłabienia hartu koniecznego do przetrzymania zmiennych losów zbyt przewlekłej wojny. Otwarcie mówiąc, postulat „wojny błyskawicznej“ oznacza dla wysuwających go dyktatur co najmniej połowę przyszłej klęski — klęski już poniesionej, zanim jeszcze mogło przyjść do wojny. Zwłaszcza gdy realne doświadczenia dwóch lat ostatnich: hiszpańskie i chińskie, dowiodły całkowitego bankructwa pomysłów „blietzkrieg’owych“ i — odwrotnie — ujawniły nieprzeczuwane nawet przez fachowców wojskowych możliwości obronne napadniętych, choćby

w warunkach jaskrawej niewspółmierności sił technicznych i organizacyjnych...

To stwierdzenie jest niewątpliwie jednym z jaśniejszych przeblysków na grubo zachmurzonym niebie dzisiejszego świata.

Przyszły historyk opisie kiedyś dokładnie okoliczności, w jakich na wczesnym przedwiośniu 1938 r. dokonało się wcielenie Austrii po-wersalskiej do Rzeszy Niemieckiej. Wyświetli szczegółowo mechanizm decyzji berlińskiej z dnia 11 marca; ujawni— być może — w jakim stopniu decyzje te były ze strony „brunatnego“ rządu posunięciem „*va banque*“, zdeterminowanym przez groźbę nieobliczalnych skutków, jakie łatwy do przewidywania sukces plebiscytu schuschnigowego musiałby wyrzucić na wewnętrzną sytuację hitleryzmu. O tak, wszystkie ukryte dzisiaj dźwignie i sprężyny dokonanego „Anschlusu“ zostaną kiedyś precyzyjnie obnażone, ustalone, zanalizowane... Na razie, ciekawość nasza musi poprzestać na widzialnych „gołym okiem“ faktach, na końcowych — powiedzmy — „(an)schluss-effektach...“ Trudno, trzeba się zdobywać na cierpliwość.

Atoli p. Witold Nowosad, publicysta „narodowy“, nie należy do ludzi cierpliwych. Już dzisiaj — nie zwlekając — podjął się (w artykule „Moc ideowa i głos historii“ — „Prosto z mostu“ nr 17) wyjaśnić nam: „jak się to stało“, z tym Anshlussem? Jak? Bardzo prosto. Dla p. Nowosada bowiem wszystko jest proste i jasne. Oto — uważacie, rodacy — niepodległość Austrii padła „przede wszystkim wskutek poddmuchu wielkiej idei“. Oto — „Anschluss“ jest dowodem, że „nie złoto ani intrygi, nie miecze ani

armaty, lecz wielkie idee rządzą światem“. W pamiętnych dniach marcowych p. Nowosad pilnie słuchał austriackich radiostacyj i z rozrzuwaniem opowiada nam o „śpiewach i rytmicznych okrzykach szalejącej z radości masy ludzkiej“, o „oszałałych na widok Führera tłumach wiedeńskich“, o „poważnej melodii Horst Wessel Lied, śpiewanej w ten dzień do upadłego w całej Austrii tysięcznymi ustami“ etc., etc. I otóż — to wszystko, co p. Nowosad słyszał z radiostacyj austriackich i co wyczytał w komunikatach oficjalnych agencji prasowych — to wszystko właśnie upoważniło go do wniosku, że głównym sprawcą Anschlussu był „podmuch wielkiej idei“, idei — jak sam powiada — ucieleśnionej w Adolfie Hitlerze.

Wobec tak przekonywająco umotywowanego stwierdzenia, w pokorze ducha przyjmujemy i takie jeszcze mimochodem przez p. Nowosada wyrażone orzeczenie: „Dla błakających się jeszcze tu i ówdzie ponurych upiórów materializmu „Anschluss“ jest ciosem śmiertelnym“.

Już, już gotowi byliśmy ulec, poddać się surowemu wyrokowi p. Nowosada, gdyby... och, gdyby nie jedna, uporczywie trapiąca nas myśl: myśl, że p. Nowosad jest publicystą tego obozu w Polsce, który wśród wszystkich innych wyróżnia i wyróżniał się zawsze najbardziej „materialną“ brutalnością metod walki... Tego obozu, który uprawia i zawsze uprawiał kult siły — nie żadnej „mocy ideowej“, szanowni panowie, ale zwyczajnej przemocy! Tego obozu, który niegdyś korzył się przed — nieideową chyba — potęgą caratu, a dzisiaj, w wolnym państwie, jeśli czym zazna-

cza swe istnienie, to przede wszystkim długim, nieprzerwanym szlakiem gwałtów, burd pałkarskich i pogromów, stosowanych z reguły wobec słabszych, mniej licznych i bezbronnych — szlakiem „permanentnej hecy“.

A skoro tak, skoro już — w samą porę — uświadomiliśmy sobie przynależność polityczną p. Nowosada, od razu stajemy się ostrożniejsi... Jeszcze raz, ale już trochę podejrzliwie czytamy jego „anschlussowe“ uniesienia... I zaczynamy przypominać sobie różne rzeczy, takie, o których p. Nowosad pisze, i takie, o których nie pisze...

No więc tak, owszem, my także słuchaliśmy przez radio „szalejących na widok Führera“ Austriaków: 12, 13, 14 marca i dni następnych — słuchaliśmy, a także. Lecz trudno nam zapomnieć o tym, co na tej samej wiedeńskiej fali słyszeliśmy — w niemniej historycznych dniach: 9 marca i 24 lutego. Słyszeliśmy dwa, tak fatalne w skutkach przemówienia b. kanclerza Schuschnigga: w Wiedniu i Innsbrucku. Być może, i p. Nowosad siedział wtedy przy głośniku radiowym. Jeśli tak, to pamięta chyba te frenetyczne aplauzy i długotrwałe burze entuzjazmu, jakimi tłumy słuchaczy (w Innsbrucku — 30.000) reagowały na każde zdanie Schuschnigga, akcentujące wolę utrzymania niepodległości Austrii.

O tak, radiofonia to dobra rzecz. Dzięki niej „na własne uszy“ byliśmy świadkami, jak pewne społeczeństwo (dla ścisłości dodajemy: mieszczańskie!) pewnego kulturalnego kraju — w ciągu 48 godzin zmieniło o 180 stopni swą „orientację ideową“, ba! swój stosunek do najbardziej fundamentalnej kwestii swego bytu państwowego! Bądźmy sprawiedliwi: objawy „entuzjazmu“ nadawane na fali Wiednia żadnej nie uległy zmianie w cią-

gu rzeczonych 48 godzin, zmienił się jedynie i to diametralnie, jego kierunek i treść.

Tylko, jeżeli sprawcą tego niebywałego „cudu“ miałyby być — jak chce p. Nowosad — „podmuchi wielkiej idei“, to stwierdzić trzeba najkategoryczniej, że słowo „idea“ zostało tu użyte przez jakieś bardzo głębokie i przykre — nieporozumienie

A wobec tego wrażliwy na idee p. Nowosad pozwoli, że — patrząc rzeczywistości prosto w oczy — przedstawimy jego rozważde następujący tok myśli:

Primo: Schuschnigg zarządził plebiscyt — „za“ czy „przeciw“ niepodległości Austrii? Czyli, w danych warunkach, „za“ czy „przeciw“ „wielkiej idei“ swastyckiej? Przypuśćmy, że plebiscyt ten doszedłby do skutku. Jest rzeczą zupełnie pewną (najlepiej wiedział o tym — Hitler!), że dałby on Schuschniggowi przyniatające zwycięstwo. Cóżby ono oznaczało? Albo istotny wyraz antyhitlerowskiej orientacji ideowej większości społeczeństwa austriackiego, albo — zwyczajny, bezideowy oportunizm tej większości wobec reżimu Schuschnigga. Innej, trzeciej możliwości tutaj nie ma.

Secundo: 10 kwietnia odbył się „plebiscyt“ w Austrii, już po-anschlussowej. Jego sens ideowo-polityczny w istocie swojej był identyczny z sensem niedoszedłego schuschnigowego plebiscytu. Rezultat — znany, nikogo zresztą nie zdziwił i nie zaskoczył. I znowu — dwie tylko możliwości: 99% głosów oddanych w Austrii Hitlerowi, to albo szczerzy wyraz orientacji ideowej prawie całego już tym razem społeczeństwa austriackiego, albo — świadectwo zgoła już niezwykłego oportunizmu tej pokaźnej jego większości, która — gdyby nie

dywizje Reichswehry w Wiedniu — oddałyby swe parole szczerze i niewątpliwie — Schuschniggowi.

Niechże teraz p. Nowosad zestawí wszystkie ogniwa przedstawionego wyżej toku myśli, niech całość dobrze i uczciwie rozważy, a potem... jeśli potem zechce nadal pozostać przy swym poglądzie na decydującą jakoby rolę „mocy ideowej“ w dniach „Anschlusu“, będzie to oznaczało — najdelikatniej mówiąc — że konstrukcje publicystyczne p. Nowosada powstają w krainie szczelnej fikcji, poza wszelką konkretną rzeczywistością.

Jedno jest w każdym razie pewne: dywizje Reichswehry, wkraczające do Austrii 12 marca, były aż nadto wymownym dowodem, że Adolf Hitler bynajmniej nie podzielał z p. Nowosadem przekonania o wielkiej, cuda czyniącej skuteczności „mocy ideowej...“ Przyznajemy, że — w danym wypadku — słusznie nie podzielał. Adolf Hitler zna się na tych rzeczach lepiej niż publicyści „Prosto z mostu“ — wołał „zadziałać“ na swoich „entuzjastów“ austriackich hukami motorów dywizyj pancernych, niż samym tylko „podmuchać wielkiej idei...“ Mówiąc prościej, postąpił tak, jak zawsze i wszędzie postępowali wszyscy zaborcy.

I jeśli co nie mogło nas zaskoczyć i zadziwić w całym tym „anschlusowym“ widowisku, to przede wszystkim fakt bezprzykładnej wprost, śmiesznie żałosnej kapitulacji, samounicestwienia się tych sił, które „żelazną ręką“ rządziły w Austrii wczorajszej przez równo cztery ostatnie lata jej niepodległego bytu. „Klero-faszyzm“ wiedeński, mocno w swym kraju oparty na bagnietach egzekutywy i na pół-militarnych zastępach „frontu ojczyźnianego“, przewrócił się jak worek trocin — bez wystrzału. Przez zbrodnię, przez masakrę lutową 1934

roku, przez przemoc przyszedł do władzy — siłą się przy niej utrzymywał na podeptanym ciełe wolności — przed siłą i przemocą padł w niesławie, wolności bronić nie mógł i nie umiał — nie mógł umieć!

Dlatego myli się p. Nowosad, gdy mówi, że „Anschluss“ jest „ciosem śmiertelnym“ dla tych, których nazywać raczej „upiorami materializmu“. Nie klęską bynajmniej, lecz — niestety — raczej smutną i gorzką satysfakcją był „Anschluss“ dla tych wszystkich, którzy nie wierzą i nie wierzyli nigdy w trwałość i doskonałość dzieł budowanych gwałtem i przemocą, którzy nie akceptują kultu siły, którzy, jeżeli są „materialistami“, to jedynie w tym znaczeniu, że armaty nazywają armatami, gwałt — gwałtem, a podłość — podłością.

Podziwiajcież Nemezis fatalną:

Dollfuss, bratobójczymi kulami ubity, niesławną śmiercią zapłacił za swoją zbrodnię lutową — dzisiaj we własnej ojczyźnie z pomniczków zrzucany rękami nowej, aktualnie tryumfującej przemocy.

Fey, zbir najkrwawszy dollfussjady, nędznym jakimś, psim zaiste końcem zszedł ze świata.

Schuschnigg nieszczęsny, osobiście nieobciążony rachunkiem za rok 1934, — on jeden bodaj spośród wodzów klero-faszyzmu austriackiego najwięcej stosunkowo okazał osamotnionej w krytycznym momencie godności; postać żałośnie tragiczna.

I jeszcze — jeszcze ktoś, znaczny i możny: purpurat rzymskiego kościoła, Innitzer, arcybiskup Wiednia. Duszpasterz — on nie rozporządza siłą brutalną, armatami; on tylko błogosławił armatom Dollfussa i Fey'a, bombardującym ogniska domowe wiedeńskich robotni-

ków; on dawał przez cztery lata sankcję najwyższą ideałom i rzeczywistości austriackiego „państwa stanowego“. Lecz nie przypłacił tego ani śmiercią, jak Dollfuss i Fey, ani ceną utraty wolności, jak Schuschnigg. Och, bo on właśnie, najdostojniejszy ideolog wiedeńskiego klerofaszyzmu — on najskorzej i najgłębiej ukorzył się przed „podmuchem“ ideologii „mocniejszej“ niż klerofaszyzm, „mocniejszej“, bo objawionej Wiedniowi łoskotem dywizyj pancernych, mających za sobą całą potęgę militarną Trzeciej Rzeszy. On, reprezentant urzędowej mocy ducha, ugiął się najskorzej i najgłębiej; za rok 1934 zapłacił cenę...

Najniższą — czy — najwyższą?

Jak dla kogo, panowie publicyści „narodowi“.

„LUD“ I „NARÓD“.

(Przemówienie, wygłoszone 31. X. 1937 w Krakowie, podczas akademii, poświęconej rocznicy Rządu Lubelskiego)

Jesteśmy szermierzami wolności. Jesteśmy szermierzami wolności ludu polskiego. Z tego dobrego tytułu czerpiemy nasze prawo zabierania głosu w dniach, kiedy pamięć Polaków zwraca się ku owej wielkiej jesieni, nabrzmiałej porodem Wolności: jesieni osiemnastego roku. Są między nami ludzie — pozdrawiamy ich pełnią naszego szacunku — ludzie, którzy w tamtych dziejowych wypadkach ważny i znaczny brali udział, a którzy sprawę wolności czynili już przedtem, w ciągu ostatnich lat niewoli, w trudzie i grozie walk podziemnych; i są tacy, którym w oczach została tylko nikła pamięć wydarzeń, widzianych bardzo młodymi, dziecięcymi nawet żrenicami. Jedni i drudzy, złączeni spójnią wyznawanych ideałów wolnościowych, zabieramy głos dzisiaj — dzisiaj właśnie, kiedy dziejące się dni w nabrzmieniu swoim, ważności swojej i napięciu, nie ustępują wcale tamtej sprzed dziewiętnastu lat jesieni; dzisiaj właśnie, kiedy sprawa wolności w Polsce — choć w odmienionych zupełnie warunkach — coraz oczywistej dla każdego z nas wysuwa się na pierwsze bodaj, czołowe miejsce pośród całego splotu otwartych przed nami zagadnień.

Sprawa wolności w Polsce ma swoją długą i dramatyczną historię. Dwa słowa, dwa pojęcia są biegunami żywej osi tej historii; dwa słowa, dwa pojęcia: **l u d** i **n a r ó d**. Pomiędzy tymi biegunami rozegrał się ongiś dramat upadku niepodległości; pomiędzy nimi sza-

motała się rzeczywistość Polska w ciągu długiego stulecia niewoli; pomiędzy nimi wreszcie rozpina się najistotniejsza treść dnia dzisiejszego, dzisiejszych walk o wolność w Polsce.

„Lud“ — i — „naród“.

Stara Rzeczpospolita „narodu“ szlacheckiego padła wśród głuchej drewnianej obojętności milionowych mas ludu chłopskiego. Wolność kraju, niezawisłość narodowa, mniej były warte w sumieniach klasy „dobrze urodzonego“ jaśniepaństwa, niż prawo przywileju, prawo bata, twardą ręką dzierzzonego nad zgiętym grzbietem chłopca-rodaka. Garść najlepszych, garść patriotów, którzy nadzieję ratowania wolności dostrzegli w odwołaniu się do mas ludowych — obóz „narodowego“ wstecznicstwa okrzyczał mianem „jakobinów“, mianem czerwonych burzycieli ładu społecznego, chociaż Kościuszkom i Kollątajom daleko było do rewolucyjnej żarliwości Dantonów i Robespierrow. Między klasowym egoizmem „narodu“ herbowego a nieruchomym żywiołem chłopskiej krzywdy sprawa wolności w Polsce została wtedy przegrana.

I oto, ilekroć potem w ciągu długiego stulecia miała ona odżywać na nowo, podźwigać się z dna niewoli, wzbiegać iskrami z popiołów — tragiczne akty dramatu dziejowego za każdym razem rozgrywały się pomiędzy tymi samymi dwoma biegunami polskiej rzeczywistości: pomiędzy sprawą l u d u i sprawą n a r o d u. Tak było w dniach powstania listopadowego, tak było w roku 1848 i w roku 1863. Za każdym razem próby odbudowania wolności z bronią w ręku kończyły się katastrofalnie; ludzie bowiem, którzy je podejmowali, wciąż ulegali tej samej tragicznej pomyłce: wierzyli w możliwość poje-

dnania dla sprawy wolności sprzecznych jak ogień i woda żywiołów społecznych. Patriotyzm tych ludzi — bojowników powstań polskich — był wszechogarniającym i ponadklasowym. Zapominali oni, wpatrzeni w walki wolnościowe zachodniej Europy, że tam pojęcie patriotyzmu miało wówczas wyraźną treść społecznie-rewolucyjną, a słowo „patriota“ oznaczało człowieka obywatela, walczącego przeciw despotcji i tyranii własnych rządów i własnych klas zachowawczych — w imię wolności, demokracji i braterstwa ludów. Bojownicy powstań polskich tylko pozornie ginęli z ręki wroga; w rzeczywistości zapadali się „w próżnię międzyklasową“,¹ w głuchą mogiłę mroku, otwartą między stanowym egoizmem panów ziemskich a odrętwieniem i obojętnością masy chłopskiej.

Ale mijały lata. Prawa rozwoju społecznego oraz dekrety rządów zaborczych zdejmują jarzmo niewoli: pańszczyźnianej z karku chłopu polskiego. Powstaje równocześnie i rozrastać się zaczyna nowa, nowoczesna siła dziejowa: klasa robotnicza. Lud polski budzi się z wiekowego odrętwienia, prostuje spracowane grzbiety, podnosi głowy i patrzy przed się świadomszymi, śmielszymi oczyma. Ze stanu dotychczasowej niewiedzy i bierności przechodzi do postawy czynnej, do organizacji, do walki: walki nie tylko o swoje interesy, lecz w równym stopniu także o swoją godność ludzką, o swoje prawa człowieka i obywatela. Przeciw komu ta walka? W warunkach życia polskiego musiała ona być zarazem walką klasową i narodową. Siły reakcji rodzimej, siły

¹ J. Bronowicz, „Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek“. Warszawa 1926.

polskiego wstecznictwa miały za sobą potężne oparcie w despotyzmie państw zaborczych; ich przywileju, ich pasożytnego bytu strzegł żandarm w obcym mundurze. Już z tego choćby względu walka mas ludowych o wyzwole nie społeczne musiała u nas nierozdzielnie z wią- zać się z walką o niepodległość narodową. Zdawać się mogło, że w ten sposób ulegnie likwidacji owo rozdar- cie, w jakim sprawa wolności w Polsce szamotała się po- między biegunami „ludu“ i „narodu“. Lecz stary dra- mat dziejowy odżyć miał w nowych, odmiennych warun- kach. Samodzielność i rosnące uświadomienie społeczne warstw ludowych zatrwożyły klasy posiadające; szla- chetczyznę i syte mieszczaństwo. Nic to, że organizujące się siły robotników i chłopów były jedynym czynnikiem, zdolnym bojowo przeciwstawić się potędze państw za- borczych i rzeczywiście, zwłaszcza na ziemiach podle- głych caratowi — od początku weszły na drogę walk społecznie i narodowo wyzwoleńczych. Dla obozu „po- łaniecczyzny“ i „dulszczyzny“ polskiej obrona zagrożo- nej renty gruntowej, czynszu i dywidendy, ważniejszą była po stokroć nad zagadnienie wolnego bytu narodo- wego. I wtedy właśnie zaczyna się w Polsce to niesłycha- nie czelne oszustwo polityczne, trwające do dnia dzisiej- szego: obrońcy przywileju i członkowie towarzystw ak- cyjnych, plantatorzy buraków i bywalcy wytwornych klubów „obywatelskich“, przez swych lokajów ideologi- cznych z wielkim nakładem kosztów i energii przystą- pili do szantażowania walczących mas ludo- wych słowami: „naród“, „narodowy“. Szantaż polegał na karceniu — w imię Boga i Ojczyzny — klasowości ru- chów ludowych, szczególnie robotniczego, na przeciw- stawianiu im grzmiącego hasła „jedności narodowej“.

Pierwszy lepszy właściciel stajni wyścigowej czuł się w prawie pouczać o patriotyzmie — bojowników w bluzach roboczych, ludzi z zastępu Montwiłłów i Okrzejów... To nic, że ci kulami tępili carskich żandarmów, podczas gdy tamten jeżeli strzelał, to chyba na polowaniu; to nic, że Okrzeje i Barony gnili w katorgach i ginęli na szubienicach, podczas gdy wytworni panowie Podfilipscy korzystali z każdej okazji, aby słać wiernopoddańcze wyrazy do Wiedniów i Petersburgów; w oczach szantażystów „narodowych“ pierwsi uchodzili za wrogów ojczyzny, drudzy — za jej ozdobę, za wzorowych „patriotów“.

W ten sposób, w odmiennym zupełnie układzie, sprawa wolności w Polsce znowu znalazła się pomiędzy dwoma biegunami: ludu i „narodu“. Teraz jednak odwróciły się role i pojęcia. Lud, chłopski i robotniczy, samodzielny politycznie, uzbrojony w świadomość swych praw i dążeń, wiążąc swą przyszłość społeczną z przyszłością całego kraju, stanął do czynnej, realnej walki o wyjarzmienie i siebie i Polski zarazem. Stało się to, o czym na próżno marzyli niegdyś osamotnieni ludzie pierwszych polskich powstań. Lud poczuł się żołnierzem wolności. A „naród“? Pod sztandarem czy raczej szyldem „narodowym“ skupiły się wszystkie żywioły ugody, trójlojalizmu i rezygnacji z prawa do niepodległości: ciemne siły reakcji społecznej, obszarnicy i groszoroży i całe polskie kołtuństwo. Czyż trzeba tu jeszcze raz przypominać tyle haniebnego pamięci aktów serwilizmu i manifestacji „uczuć wiernopoddańczych“, ozdabiających karty historii obozu, który z handlarską krzykliwością zmonopolizował dla siebie przymiotnik „narodowy“. Czyż trzeba przypominać tych „narodow-

ców“ warszawskich i łódzkich, którzy w 1905 roku pomagali carskim żandarmom zabijać polskich robotników i dławić ich ruch wolnościowy? Czyż trzeba przypominać pokłony, przez tychże „narodowców“ wybijane w przedpokojach rosyjskich generałów-gubernatorów — w pierwszych dniach wojny światowej?

Zbyt znane są te dzieje i żadne aktualne koniunktury nie wykreślą ich z pamięci ludu polskiego. Gdyż dramat dziejowy nie został jeszcze dograny do końca. Sprawa wolności w Polsce nabrzmiewa dzisiaj znowu do wielkich rozstrzygnięć. Nie ukrywajmy, że grożą jej wielkie niebezpieczeństwa. Coraz duszniej robi się dziś w Europie, coraz nieznośniej zagęszcza się na naszym kontynencie atmosfera przedburzowa. Ciemne siły ginącego świata organizują swoje zbójeckie energie. Biada Europie, biada kulturze, biada życiu naszemu, jeśli uda im się energie te rozpętać nad nami! Polska jest krajem jednym z najbardziej narażonych w wypadku wielkiej konflagracji wojennej. Polska jest krajem, który wolność swą zawdzięcza siłom demokracji, zarówno własnej, jak i ogólnoeuropejskiej. Wolność ta, niezawisłość polityczna i duchowa, może być utrzymana i broniona tylko w stanowczym, zdecydowanym przeciwstawieniu się żywiołom zaboboczości, awanturnictwa i krwawej mistyki plemiennej, żywiołom rozwścieklonych nacjonalizmów.

Lecz wolność kraju to wolność jego mieszkańców, wolność jego mas ludowych. Czarną przyszłość gotują Polsce ci, którzy o tym zapominają, wbrew całemu doświadczeniu naszych dziejów! Są tacy. To właśnie ci, którym słowo „naród“, wykrzykiwane z handlarskim natręctwem, nie schodzi z obłudnych ust. Którzy w imię „narodu“

chcieliby masy ludowe w Polsce przycisnąć butem rodzimego „totalizmu“. Którzy każdy swój stragan, każdą swą lichą imprezę chrzcząc przymiotnikiem „narodowym“, wciąż odmienianym przez wszystkie przypadki — nie widzą, nie chcą widzieć rzeczywistego w tym kraju narodu: mas chłopskich i robotniczych, mas całego świata pracy.

Czas skończyć w Polsce z życiem rozszamotanym między biegunami l u d u i „narodu“. Czas skończyć z oszukańczym przeciwstawianiem krzykliwych szyldów „narodowych“ — klasowym walkom i dążeniami chłopca i robotnika. Lud jest narodem, chociaż nie reklamuje tego prostego faktu przy każdej okazji; chłop i robotnik są narodem, choć nie histeryzują „narodowo“. Ale dlatego właśnie nie pozwolą handlarskim nadużywaniem imienia n a r o d u wyszantażować na sobie rezygnacji ze swych praw i pragnień — na rzecz tych, którzy nigdy z niczego nie chcieli dobrowolnie rezygnować! Klasowy interes chłopca, robotnika i pracownika jest zarazem — sam przez się — interesem narodowym — w pełnym, niesfałszowanym po kramarsku znaczeniu tego słowa.

Sprawa wolności w Polsce — dzisiaj znowu, jak przed dziewiętnastu laty — spoiście powiązana jest ze sprawą wolności w całym świecie cywilizowanym. Jeśli widzimy ją zagrożoną, musimy jej bronić. Groźnych ostrzeżeń nie brak ostatnimi czasy. Półtora roku temu w jarzmo zaborcy wszedł ostatni już niepodległy kraj w Afryce dalekiej. Od roku z górą żołdak zaborczy żelazną stopą depce ziemię półwyspu iberyjskiego. Ostatnio zaś w walce obronnej z najeźdźcą krwawić zaczęły umęczone Chiny. Nie wiadomo, kogo na jutro lub pojutrze upatrzili „totalni“ wrogowie wolności. Jeśli o Polskę chodzi, py-

tamy: z jakim czołem będą jej bronić ci, którzy dzisiaj — zbyt łatwo zapomniawszy o naszej własnej historii — jednoczą się duchowo ze współczesnymi zaborcami cudzych ziem, cudzych ojczyzn? Zachłystują się uszczęśliwieniem czytając o operacjach wojennych, z których niejedna w znaczeniu swoim, w treści swojej, niczym prawie nie różni się od bitwy pod Maciejowicami! Sławią zbirów, z których niejeden tylko krojem munduru i brzmieniem mowy, w jakiej wydaje rozkazy, różni się od ponurej pamięci feldmarszałka Suworowa!

Nie, w tych ludziach, choć przeważnie głoszą się „narodowcami“, sprawa wolności w Polsce nie znajdzie rzetelnych, czystych w swoim sumieniu rzeczników. Na lud tylko może ona liczyć. Na lud, który ją wywalczył i który ją odżywia co dzień mozołem swojej pracy. Dla niego zaś — dla ludu — jedynym powietrzem oddychalnym, jedynym klimatem, w którym może on czuć się i być naprawdę n a r o d e m — jest klimat d e m o k r a c j i. Klimat rozwoju i wzrostu, klimat — jak Żeromski to określił — „wielkiego pracowska postępu“, klimat dobrobytu i kultury, klimat prawa i sprawiedliwości: klimat P o l s k i L u d o w e j.

Taką zdawała się wychodzić z więzów niewoli wtedy, owej jesieni przed laty dziewiętnastu — taką, wierzymy, wyjdzie na pewno z mroku dni dzisiejszych!

OBRONA „KORDIANA I CHAMA“.

W artykule Karola Radka p. t. „Polska powieść rewolucyjna“¹ przeczytałem o „Kordianie i chamie“, iż książka ta wywołała „napaści ze strony obozu obszarniczoburżuazyjnego“. Jest to zdanie nieścisłe. Prasa mieszczańska w Polsce — stwierdzam tu f a k t, nie wdając się w jego ocenę, — przyjęła moją powieść głosami raczej przychylnymi, niekiedy nawet, jak np. w skrajnie konserwatywnym „Słowie“ wileńskim, niemal entuzjastycznymi... Co więcej, prawie wszyscy krytycy i publicyści, którzy o „Kordianie i chamie“ w tej prasie pisali, zajęli wobec mej powieści stanowisko, w zasadniczym ujęciu identyczne z tym, na którym stanął... autor artykułu „Polska powieść rewolucyjna“. Różnice między Radkiem a, powiedzmy, Irzykowskim, w danym wypadku leżą raczej w sferze subtelności terminologicznych, w tym, że np. pierwszy zarzuca mi „bękarci ekonomizm“, a drugi — „forsowany marxizm“.

Tak się więc dziwnie złożyło, że odpowiadając na zarzuty Radka, t y m s a m y m odpowiadam na — nie „napaści“, lecz zarzuty większości krytyków mojej książki z „obozu obszarniczoburżuazyjnego“.

*

Sąd Radka o „Kordianie i chamie“ można by streścić mniej więcej w ten sposób: obraz położenia chłopów

¹ Artykuł ten ukazał się w „Izwiestjach“, skąd przedrukowały go „Wiadomości Literackie“ (nr 562).

polских na początku XIX w., ich ucisku i eksploatacji przez szlachtę, przedstawiony jest w powieści „rzetelnie“, wiernie i przekonywująco; natomiast autor nie wyszedł i nie docenił prądów demokratyczno-rewolucyjnych w ówczesnej masie drobnoszlacheckiej i inteligencjo-mieszczańskiej, nie zrozumiał postępowej roli tendencji narodowo-wyzwoleńczych, nurtujących w tej masie, a wskutek tego dał „uproszczony, a więc nieprawdziwy“ obraz powstania listopadowego.

Innymi słowami, np. słowami Irzykowskiego: „O ile (autor) obraca się w dziedzinie krzywdy chłopskiej, pisze prawdę... Inaczej, gdy chodzi o samo powstanie listopadowe“.

Otóż w takim ujęciu sprawy tkwi wyraźne nieporozumienie.

„Kordian i cham“ nie jest bynajmniej powieścią o powstaniu listopadowym. W przedmowie książki zazna-
czyłem, że jej „osią tematyczną jest s p r a w a c h ł o p-
s k a w Królestwie Kongresowym, w dobie, poprzedzają-
cej bezpośrednio wybuch powstania listopadowego“. A to, że powieść kończy się „nocą listopadową“, wynikało nie tylko z prostej konieczności pójścia za losami De-
czyńskiego aż do tej przełomowej (także dla niego osobiście!) daty; ale głównie ze względu na rzecz, sto-
kroć ważniejszą, jaką był mus postawienia kwestii s t o-
s u n k u c h ł o p a p a ń s z c z y ź n i a n e g o d o w a l-
k i n a r o d o w o - w y z w o l e ń c z e j.

Winę nieporozumienia ponosi do pewnego stopnia — tytuł powieści. Sugeruje on czytelnikowi, jako by w za-
mierzeniu autora leżało r ó w n o r z ę d n e traktowanie
dwu przeciwstawnych materij: „kordianowskiej“ spra-
wy powstania listopadowego — i sprawy „chama“.

Wbrew istotnym proporcjom ustosunkowania w powieści obu tych materyj, ów „Kordian“ w tytule przesunął akcent zbyt silnie na problematykę narodowo-wyzwoleńczą, która w gruncie rzeczy jest w książce raczej nadbudową, zarówno w sensie kompozycyjnym jak i ideologicznym. Przecież sprawie powstania poświęcone jest w powieści wszystkiego pięć rozdziałów — na dwadzieścia dwa! W tym bardzo zwięzłym skrócie (a skrót nie zawsze jest „simplifikacją!“) starałem się ukazać dialektykę „nocy listopadowej“, jako niezbędne rusztowanie dla rozdziału końcowego, w którym sprawa stosunku chłopca do walki narodowo-wyzwoleńczej materializuje się w dramatycznym starciu Deczyńskiego z Felusiem Czartkowskim.

I dlatego, jeżeli Radek pisze, że, dając „rzetelny obraz eksploatacji chłopstwa“, nie umiałem dać „rzetelnego obrazu Polski na początku XIX w.“ — to ta pretensja jest oczywistym nieporozumieniem, z tej przyczyny, że ukazanie „obrazu Polski na początku XIX w.“ nie leżało wcale na linii mojego zamierzenia. Na tej linii była wyłącznie sprawa chłopska, co w przedmowie powieści wyraźnie zaznaczyłem. Że w pewnym punkcie linia ta skrzyżowała się z zagadnieniem narodowym, z problematyką powstania — jest zupełnie zrozumiałe.

*

Wyjaśniwszy nieporozumienie, z którego wyniknął pierwszy, ogólny i zasadniczy zarzut Radka w stosunku do mojej powieści, przechodzę do zarzutów bardziej szczegółowych. Tutaj już trudno mi mówić o nieporozumieniach.

Pisze Radek, że w „Kordianie i chamie“ „całkowicie nie został uwidoczniiony uciśk car-

s ki". Co więcej: „Deczyński, szukając dla chłopów obrony, zwraca się nawet z podaniem do cara. Nie wi-
ćzi w nim głównego ciemięczy“.

Otóż, niestety, nie tylko Deczyński, ale chłop polscy w całej swej masie — i nie tylko przed r. 1830, ale jeszcze długo po tej dacie! — nie widzieli w carze ciemięczy; wręcz przeciwnie — żyli w głuchym przekonaniu, że car jest dobrym, sprawiedliwym władcą, który na pewno ulżyłby ich niedoli, gdyby mu w tym nie przeszkadzali polscy „panowie“. Taki sam zresztą był stosunek chłopów galicyjskich do ich „cysarza“. Nawiasem mówiąc, ten rojalizm chłopski miał za sobą starą tradycję dawnej Rzeczypospolitej: wiara w królów polskich przeniosła się po rozbiorach, niejako automatycznie, na władców zaborczych. Trudno zamykać oczy na ten aż nadto dobrze znany fakt dziejowy.

Że Deczyński w imieniu chłopów pisał podanie do cara — tego z palca nie wyssałem. Że ciemięzców ludu widział tylko w szlachcie, o tym aż nadto wyraźnie mówi jego pamiętnik, pisany wszak na emigracji, przez człowieka, który bądź co bądź miał za sobą kampanię 1830—31 r.¹

¹ Co do sprawy udziału Deczyńskiego w powstaniu, zarzucano mi, że uśmierciłem mojego bohatera w zakończeniu powieści (jak gdyby cios kolby w pierś musiał być śmiertelny!), wbrew przyjętej przeze mnie zasadzie dokumentarności, bo przecież Deczyński nie tylko nie zginął w „noc listopadową“, ale — przeciwnie — wziął udział w powstaniu, a nawet kilka lat żył jeszcze na emigracji. Otóż to wszystko jest prawdą: Deczyński bił się w powstaniu, jak zresztą tysiące ludzi z jego klasy, chłopów, bo w chwili wybuchu był żołnierzem. Po kampanii poszedł na emigrację — i tam właśnie napisał swój pamiętnik: akt oskarżenia przeciw polskiej szlachcie, dokument, na owe czasy, śmiały i rewelacyjny. Za ten pamiętnik, wykradzony

Że w powieści mojej nie został uwidoczniiony ucisk carski? Ależ Królestwo Polskie w owym czasie było krajem, w którym cała administracja, od namiestnika i ministrów, aż po ostatniego żandarma, obsadzona była przez Polaków; a już, jeśli chodzi o chłopą, miał on tam do czynienia wyłącznie z rodzimym, doskonale zgranym aparatem ucisku, stojącym do dyspozycji panów Czartkowskich, a umiejącym — w razie potrzeby — przenikać swym skutecznym wpływem nawet do armii Królestwa, jak o tym świadczy historia bezprawnego oddania Deczyńskiego do wojska. Ucisk chłopą w Królestwie przedpowstaniowym był faktem całkowicie niezależnym od ówczesnej sytuacji politycznej tego kraju.

W dalszym ciągu Radek, rozumując, iż — w moim ujęciu — „powstanie 1831 r. jest sprawą nawet nie szla-

mu podstępnie przez „towarzysza broni“ — szlachcica, rodacy-emigranci wszczęli wścieklą nagonkę przeciw „chłopskiemu synkowi“. Nic dziwnego, Deczyński mówił ponurą prawdę o Polsce szlachecko-chłopskiej, a mówił ją w kraju, który emigrantów polskich uważał za szlachetnych synów wolności, rycerzy w służbie najszczytniejszych haseł wieku! Nagonkę przeprowadzono skutecznie: Deczyński został złamany, zniszczony, zaszczyty przez oburzonych „patriotów“ i „demokratów“. Pozbawiony środków do życia, opluty moralnie, umarł przedwcześnie (1838) w nędzy i opuszczeniu. Nawet tam, na obczyźnie, dosięgła go „mściwa dłoń szlachecka“, a „rycerze wolności“ godnie objawili swą solidarność klasową z tętym reakcjonistą, Czartkowskim-ojcem.

Sądzę, że przypomnienie tych faktów wyjaśnia sens istotny ostatniej sceny „Kordiana i chama“: kolby, uderzającej w pierś Deczyńskiego, nie należy brać dosłownie; jej cios jest skrótem kompozycyjnym: w Warszawie, w ciemnościach „nocy listopadowej“, chciałem skondensować dramat, który w rzeczywistości rozegrał się w kilka lat później, we Francji, w szarym świetle dni emigracyjnych.

chty, lecz małej grupki oficerów“, stawia takie oto pytanie:

„Skoro powstanie... było tylko obroną interesów kastowych młodego oficerstwa polskiego, dlaczego brały w nim udział dziesiątki tysięcy ludzi?“.

Czyją sprawą było powstanie, oraz, czy istotnie z powieści mojej wynika, że chodziło w nim „tylko“ o „obronę interesów młodego oficerstwa“ — to jest osobna, duża sprawa, w której wypowiem się w dalszym ciągu tego artykułu. Ale, co się tyczy owych „dziesiątków tysięcy“, biorących udział w powstaniu, wydaje mi się, że odpowiedź na pytanie Radka jest nader prosta.

Wojsko polskie lat 1815—1831 rekrutowało się, jak wiadomo, w drodze powszechnego, przymusowego poboru. Nic też dziwnego, że gdy spisek podchorążych, dzięki zupełnie szczególnym okolicznościom (o których niżej), przeobraził się w prawidłową wojnę polsko-rosyjską, armia Królestwa zrobiła to co w takich wypadkach robi każda armia — po prostu, biła się. Tak, biła się, ale ten fakt sam przez się nic jeszcze nie mówi o sprawie, najbardziej nas tu obchodzącej: o istotnym stosunku masy chłopskiej do powstania. Podobnie jak fakt, że w wojnie światowej były się miliony ludzi, nic nam nie mówi o istotnym stosunku owych milionów do celów imperialistycznej wojny. Oczywiście, porównanie powyższe nie jest najszcześliwsze, ale ponieważ trafia w sedno rzeczy.

Jaki był stosunek chłopów do powstania, nawet tych chłopów, którzy uczestniczyli w kampanii, o tym dowiedzieć się możemy z licznych ówczesnych relacyj i źródeł. Wśród nich pamiętnik Deczyńskiego stanowi dokument,

niezaprzeczalnie chyba „miarodajny“. Pozwolę sobie przytoczyć z niego dwa, bardzo wymowne ustępy:

„Nie obwiniam chłopów polskich, jeżeli nie kwapili się do szeregów na pole bitwy przeciwko nieprzyjaciołom Polski, albowiem ci nieprzyjacielem żadnej im krzywdy nie uczynili, słuszniej zrobiliby byli chłopci, gdyby użyli tej siły zbrojnej, tego rozlewu krwi, przeciwko własnym domowym ciemiężcom i tyranom.

„Nie obwiniam chłopów za to, iż dezercerowali z obozu, bo czegoż oni bronić mieli, nic nie posiadając, zwłaszcza, że nie Cesarz Rosyjski okulił te kajdany chłopów polskich, nie Car Ruski nałożył na nich to nieznosne jarzmo pańszczyzny, pod którym od dawna jęcza“. (podkr. moje).

Niestety, jest całkiem pewne, że Deczyński w powyższych słowach wyraził stanowisko ogromnej większości chłopów polskich. Jakież wobec tego, dla kraju, w którym ci chłopci stanowili z górą 75% ludności, mogły być widoki w walce z potęgą caratu?

Ale ponoć, według nowszych opinii historyków, powstanie listopadowe można było wygrać bez „levée en masse?“ Zatrudnianie umysłu hipotezami w tym kierunku wydaje mi się rzeczą dość jałową, miałoby ostatecznie pewien sens tylko wtedy, gdyby sprawę powstania listopadowego rozpatrywać wyłącznie w płaszczyźnie czysto militarnych kombinacyj strategicznych. Otóż od czasu rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich żadna, większa czy mniejsza, wojna w Europie do takiego traktowania się nie nadaje. W tej części świata pierwsza połowa XIX w., to okres walk wyzwolenńczych „ludów“

z „despotami“. Wiemy, jak wysoka była tych walk temperatura ideowa; ale i to także wiemy, że temperaturę tę wytwarzał ruch określonych sił społecznych: rewolucyjnego mieszczaństwa, idącego w awangardzie mas ludowych, chłopskich i robotniczych.

Jak te sprawy wyglądały w Polsce przedlistopadowej? Czy w ówczesnym społeczeństwie polskim, w tych 25% jego nie-chłopskiej ludności, istniała klasa szczerze rewolucyjna, a dostatecznie rozległa, klasa postępu społecznego, której żywotne interesy materialne słyby w parze z siłą ideową i moralną, zdolną jej zapewnić skuteczny wpływ na masy chłopskie i rolę awangardy tych mas w walce rewolucyjnej z caratem, a w rezultacie — zwycięską przewagę nad armią zaborczą?

Przychodzimy tu do rzuconego już wyżej pytania: czyją sprawą było powstanie listopadowe? Przychodzimy zarazem do kwestii, której Radek w artykule swoim najwięcej poświęcił rozważań, mianowicie do sprawy owego „nurtu patriotyczno-demokratycznego“, który, w następstwie różnicowania się masy drobnoszlacheckiej, występował we wszystkich powstaniach, a polegał na łączeniu „walki o niepodległość Polski z walką o demokrację, o wyzwolenie chłopstwa“. Tego nurtu — zarzuca mi Radek — nie dostrzegłem w obrazie Polski przedlistopadowej, przez co sprawę powstania 1831 r. „typowo“ zsymplikowałem.

Ten zarzut Radka jest chyba najpoważniejszy, no i, oczywiście — nie nowy, bo słyszałem go już od wszystkich prawie, tych krytyków mieszczańskich, którzy o „Kordianie i chamie“ pisali. Powinienbym właściwie,

w odpowiedzi na ten zarzut, przytoczyć tu całe, długie ustępy z rozdziałów XVII i XXI mojej powieści (sceny z Mochnackim i Lelewelem), w których i „nurt patriotyczno-demokratyczny“ odszukaćby się dało i w dramatycznym ujęciu, całą dialektykę ówczesnej polskiej rzeczywistości, w jej socjologicznej treści, rzecz prosta, w zasadniczych tylko rzutach, zgodnie z założeniem „Kordiana i chłama“, powieści — przypominam — nie o powstaniu listopadowym, lecz o sprawie chłopskiej. Ale tego, ze zrozumiałych względów, uczynić tutaj nie mogę. Spróbuję przeto odpowiedzieć krócej.

Prądy czy nurty ideowe tylko wtedy mają realne znaczenie w wypadkach dziejowych, gdy przepływają w świadomości określonych sił społecznych. Rzecz więc sprowadza się do tego, czy idee wolnościowo-demokratyczne miały w Polsce przedlistopadowej tego rodzaju oparcie w łożysku społecznym? Krótko mówiąc, czy w ówczesnym społeczeństwie polskim istniała historycznie właściwa klasa rewolucyjna?

Zdaje się, że nie trudno będzie odpowiedzieć na to pytanie.

Mieszczaństwo? Nie podobna, doprawdy uważać za klasę rewolucyjną, w ówczesnym sensie zachodnio-europejskim, tego co w Królestwie Kongresowym nazywało się mieszczaństwem. Pomijając liczebną słabość tej warstwy, jakże daleko tu już jesteśmy choćby od kwietniowych dni insurekcji 1794 r.! Proces ideowego uwstecznienia się mieszczaństwa polskiego, zaczął się właśnie w autonomicznym Królestwie lat 1815—1830. Nie zapominajmy, że naczelnym ideologiem tego mieszczaństwa był podówczas Staszic, prekursor późniejszego hasła „pra-

cy organicznej“ i apostoł mętnych koncepcyj „słowia-
nofilskich“, których sens polityczny był wcale wyraźny.

Pozostawała jedynie i wyłącznie szlachta, czy, jak Ra-
dek powiada, „masa drobnoszlachecka“. W istocie, cała
przeszłość, oraz osobliwa struktura i znaczna liczeb-
ność tej warstwy społecznej w Polsce były przesłanka-
mi, z których wynikało, że szlachta polska, w przeci-
wieństwie do jej siostrzyc zachodnio-europejskich, mo-
gła była stać się na początku XIX w., w całej swej ma-
sie (wyjawszy magnaterię), klasą rewolucyjną. Była do
tego i d e o l o g i c z n i e p r e d e s t y n o w a n a, bo
idee demokracji, idee antyabsolutystyczne, już przez
kilka wieków istnienia starej Rzeczypospolitej (republi-
ki konstytucyjnej z monarchą obieralnym!) — były kli-
matem politycznym szlachty polskiej. I choć ta demo-
kracja szlachecka była w swoim rodzaju paradoksem, bo
to była d e m o k r a c j a s t a n o w a, ekskluzywna, ary-
stokratyczna, elitarna: mimo to, była ona gruntem,
z którego wyrastała ideologiczna dyspozycja szlachty
polskiej do maszerowania w szeregach wolnościowo-de-
mokratycznych ruchów ówczesnej Europy.

Niestety, tej ideologicznej dyspozycji stawał na dro-
dze — e k o n o m i c z n y i n t e r e s k l a s o w y. W ha-
śle demokracji powszechnej, „ludowej“, określające ów-
czesny kierunek postępu społecznego, włączony był nie-
rozerwalnie postulat u w ł a s z c z e n i a c h ł o p ó w —
postulat, który w umysłowości szlachty polskiej wywo-
ływał i oburzenie i grozę! Oto przyczyna faktu, że
„w legiach Dąbrowskiego szlachta polska krzyczała:
„Wolność! Równość!“ — a po powrocie do kraju za
bunt poczytywała najlżejszą o równości powiastkę!“.
Oto tajemnica „nurtu ideowego“, który nie miał oparcia

w łożysku społecznym. Oto powód, dla którego „masa drobnoszlachecka“ w Królestwie nie mogła stać się klasą szczerze rewolucyjną, w ówczesnym znaczeniu europejskim.

Istotnie też nią nie była. I tutaj żadne „nurty“ ideowe ludzi nas nie mogą. Cała tragedia powstania na tym właśnie polegała: na nieprzejednanym przeciwieństwie między „wolnościowym“ rynsztunkiem ideologicznym masy szlacheckiej a jej zdecydowanie reakcyjnymi interesami stanowymi. Kto chciałby ilustracji tego faktu, niech zapozna się bliżej z losami sprawy chłopskiej w sejmie powstańczym 1831 r., niech przeczyta chociażby, co pisze o tym w swej „Historii chłopów polskich“ (t. II, str. 203—229) Świętochowski, który o żalonym i wstrętnym zarazem widowisku, rozebranym przez reprezentację szlachty polskiej w ciągu kilku tygodni, pomiędzy klęską grochowską a zwycięstwem pod Wawrem, wręcz mówi jako o „tragikomedii, ukoronowanej ohydą“.

*

Pozostaje sprawa najdrażliwsza: jaką rolę odegrali w powstaniu listopadowym podchorążowie i młodzież oficerska?

Wydaje mi się, że — jak najistotniejszą. W całym tym powstaniu momentem ściśle rewolucyjnym była tylko „noc listopadowa“. Wszystko co się działo później trzeba określać raczej, jako wojnę polsko-rosyjską. Przesądzał o tym fakt, że Królestwo Polskie lat 1815—1831 miało, bądź co bądź, własną państwowość, prawda, że z poręki kongresu wiedeńskiego i pod ciężką ręką cara-króla, ale —

z całym autonomicznym aparatem rządowym i co ważniejsza, z własnym narodowym wojskiem.

To wojsko właśnie, a w nim przede wszystkim młodzież oficerska, było motorem powstania, już choćby z tej przyczyny, że ono, obiektem będąc istotnym despotyzmu swego wodza naczelnego, w. ks. Konstantego i na łup jego kaprałskich nałogów wydane, najsilniej odczuwało zależność kraju od Rosji.

Ale wojsko, to tylko uzbrojone ramię.

Sprzysiężenie Wysockiego, spisek młodych oficerów i podchorążych, sam w sobie stanowiąc ładunek rewolucyjnego wybuchu, nie mógł dać rewolucji tego co dla niej było równie ważne, a może i ważniejsze, niż świetnie zorganizowana armia: treści politycznej, ideologii, celów społecznych.

I dlatego rzeczą najznamienniejszą w powstaniu listopadowym było to co poprzedziło jego wybuch: szukanie s a n k c j i i d e o w e j dla rewolucji — przez istotnych w tym powstaniu rewolucjonistów. Szukanie przez spiskowców-wojskowych o p a r c i a s p o ł e c z n e g o. Szukanie przez motor rewolucji — szerokiej fali napędowej z zewnątrz, bo ta, która w nim była, starczyć mogła zaledwie na jeden przemarsz ulicami Warszawy.

Szukanie, krótko mówiąc, k l a s y r e w o l u c y j n e j, oczywiście, w polu widzenia, określonym przez własną przynależność klasową szukających.

Szukanie to, jak wiemy, musiało być bezskuteczne.

I dlatego „noc listopadowa“, jedyny moment ściśle rewolucyjny w tym powstaniu, była aktem desperackiego odruchu spiskowców, zagrożonych w dalszej konspiracji. Potem już rozwój wypadków był w głównej mierze, podkreślam to ponownie, konsekwencją samego f a k t u

państwowości Królestwa, faktu, który z podziwu godną lojalnością uznał nawet w. ks. Konstanty, jak o tym świadczy całe jego, decydujące dla powstania, zachowanie się w pierwszych dniach po wybuchu. Inaczej trudno byłoby zrozumieć, jak rozpaczliwe „pronunciamento” garstki wojskowych mogło się przeobrazić w wielomiesięczną, prawidłową wojnę — mimo zdecydowanie kontrrewolucyjnej orientacji wszystkich oficjalnych kierowników ówczesnego społeczeństwa polskiego i bardzo niezdecydowanej postawy mężów politycznych, sympatyzujących z celami powstania (Lelewel!), mimo całkowitej obojętności mas ludowych i nieszczerej rewolucyjności masy szlacheckiej, rozdwojonej między ideologią wolnościową a reakcyjnym interesem stanowym, mimo braku klasy rewolucyjnej w strukturze narodu.

Te wszystkie „mimo” nie zapobiegły przeobrażeniu się „nocy listopadowej” w wojnę polsko-rosyjską, ale wywarły przemożny wpływ na cały przebieg i — ostateczny rezultat powstania, w którym, podkreślić trzeba, tylko o armia Królestwa była jedyną siłą konkretną i całkowicie spełniła swe proste zadanie. I temu też przypisać należy, że powstanie listopadowe miało treść przede wszystkim militarną, przy bardzo nikłej treści ideowej, politycznej i społecznej — nikłej, w porównaniu chociażby z insurekcją 1794 r., lub z rokiem 1863, gdzie ten stosunek układał się akurat odwrotnie!

Tak określwszy rolę czynnika wojskowego w powstaniu listopadowym, przechodzę wreszcie do delikatnej sprawy owych „awansów”, których brak miał być rzekomo — tak pono wynika z „Kordiana i chama” — istotnym czy nawet jedynym powodem wybuchu listopado-

wego. Otóż, po pierwsze, wcale tak nie „wynika“ z mej powieści, bo — pozwałam sobie twierdzić to uporczywie i sądzę, że w artykule niniejszym tego dowiodłem! — dialektyka powstania listopadowego została w niej ukazana, w skrócie, rzecz prosta, w swych najbardziej istotnych rzutach historiozoficznych, które na tym miejscu częścią powtarzam, częścią komentuję.

Po wtóre zaś, jestem rzeczywiście przekonany, że w dynamice samego spisku podchorążych (o którego roli w wybuchu już mówiłem) sprawa tych nieszczęsnych „awansów“ miała swój bardzo ważki i istotny udział.

Wspomniałem, że sprzysiężenie Wysockiego, poza osobistą gotowością bojową jego członków i pewnym wpływem wśród wojska, nie miało żadnej wyraźnej treści polityczno-społecznej, żadnego konkretnego programu ideowego („Umiem strzelać i robić bagnetem!“ — powiada Wysocki w „Kordianie i chamie“). Mogę w tej mierze powołać się na prof. Tokarza, który w obszernej pracy o „sprzysiężeniu Wysockiego“ analizuje te sprawy szczegółowo i dochodzi do konkluzji, że było to „jedynie w swoim rodzaju sprzysiężenie bez ideologii własnej“.

Musiał więc tam być jakiś inny, nie całkiem „ideowy“, ferment, który tych młodych wojskowych, o niewysokim na ogół poziomie intelektualnym i horyzontach myślowych dość ograniczonych, tych wzorowych żołnierzy, wychowanych w twardej konstantynowskiej dyscyplinie, skłonił do knoń i spisków. Otóż tym fermentem była beznadziejność ich położenia, właśnie kwestia owych „awansów“, a raczej ich braku w armii Królestwa, gdzie przepełnienie etatów oficerskich było zjawiskiem na-

prawdę wysoce niebezpiecznym; kwestia ta wiązała się zresztą bardzo ściśle z szerszymi znacznie zagadnieniami całości ówczesnej polityki polsko-rosyjskiej.

„Takową stagnację w awansach — pisze o tym Prądyński — mogli znosić przede wszystkim pułkownicy, którzy majątek na pułkach robili. Mogli na nią przystać generałowie i wyżsi oficerowie, dobrą pobierający płacę, wszyscy się niemal poženili, przyjęli obecny stan rzeczy i nie myśleli o innej przyszłości. Nie tak było z młodzieżą. Tej nie było się można oswoić ze swoim złym położeniem, które, im bardziej dolegało, tym czulszą była na nieszczęśliwe położenie kraju, tym skorszą do działania, aby razem zmienić jedno i drugie“ (podkr. moje).

„Byta to już — powiada prof. Tokarz, cytując powyższe zdania Prądyńskiego — psychologia spisku podchorążych i nocy listopadowej“.

O tym, że beznadziejność położenia była istotnie tym fermentem, który rewolucjonizował podchorążych, świadczy, moim zdaniem, najbardziej przekonująco właśnie odwrotna strona tego przykrego „medalu“: ten, dobrze znany, ale pomijany często fakt, że starszyna oficerska w armii Królestwa, od kapitana w górę, była w ogromnej większości zdecydowanie niechętna, a nawet wroga wszelkim zamachom na istniejący w kraju stan rzeczy. Czy tłumaczenie tego kontr-rewolucyjnego opor-
tunizmu byłych napoleończyków ich stosunkowo niezłym położeniem i statecznością ludzi, dosługujących się emerytury, nazwie Radek również „bękarcim ekono-
mizmem?“ A nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy

inną miarą oceniać motywy oportunizmu starych, a inną znowu — źródła rewolucjonizmu młodych.

Zresztą, jeden z tych młodych, jeden z uczestników „nocy listopadowej“ przekazał potomności bardzo chyba kompetentne, na pewno jeszcze kompetentniejsze, niż uwagi Prądzyńskiego, świadectwo, oświetlające psychologię spisku podchorążych. Mam tu na myśli mało znany pamiętnik, wydany w r. 1880 w Krakowie p. t. „Opowiadania kapitana Patelskiego“. Ów Patelski, wychowanek szkoły podchorążych, należał do sprzysiężenia Wysockiego i brał udział w wypadkach 29 listopada 1830 r. Jego wspomnienia cechuje szczerłość, rzadko spotykana u pamiętnikarzy. Patelski nie ma w sobie nic z „brązownika“, nic z owej swoistej tromtadracji większości wojskowych, piszących pamiętniki; niczego nie ukrywa, analizuje motywy swych postępków życiowych z otwartością, wzbudzającą szacunek i zaufanie.

Otóż postać Felusia Czartkowskiego w mej powieści, jego ewolucję od ochoczego junkra, „cesarskie warty na zamku sprawującego z zapalem“, — do spiskowca-rewolucjonisty, powstającego przeciw imperatorowi: postać tę, w najistotniejszych rysach takiej właśnie ewolucji i jej mechanizmu psychicznego, oparłem na wspomnieniach Patelskiego.

Powie ktoś może, że to jest symplifikacja, bo przecież Feluś Czartkowski w mej powieści zakrawa na samego „Kordiana“. Powie ktoś może, że taki Patelski był typem człowieka miernego, przeciętnego, „bęcwałem“ zgoła (Irzykowski tak określił Felusia), nie nadającym się na model „kordianowski?“ A więc właśnie! O tę przeciętność mi chodziło, o mierność właśnie — w znaczeniu zwykłej, ludzkiej, rzeczywistej

miary „bohatera“. O „Kordiana“ mi chodziło, takiego, jakim był na prawdę, nie w poetyckiej projekcji romantyzmu, ale w realnej treści człowieka z krwi i kości — tak realnej, jak realny był dramat Deczyńskiego, jak realną była prawda „chama“.

Bo o tym Radek zapomniał w swym artykule, że pisarz współczesny, sięgający w przeszłość Polski „z punktu widzenia jej mas pracujących“, robotniczych i chłopskich mas narodu, — zmierzyć się musi nie tylko z treścią dziejów, nabrzmiałą od krzywdy tych mas, nie tylko przebić się przez sieć legend, zakłamań i przemilczeń oficjalnej historii, ale musi ponadto przeciwstawić się, zwłaszcza gdy chodzi o ten odcinek dziejów, który nazywa się dobą powstania listopadowego, wielkim sugestiom poezji romantycznej, co sama w sobie genialna i świetna, zbyt lotne właśnie, zbyt „anielskie“ miała skrzydła, aby udźwignąć na nich ciężar tej najczarniejszej niewoli, niewoli istotnej, niewoli społecznej trzech czwartych ówczesnego narodu polskiego. Radek powiada, że „Mickiewicz już w „Dziadach“ piętnuje niewolę chłopstwa“. Zakrawa to na kurtuazję, daleko posuniętą. Radek grubo przecenił wagę owego epizodzik w „Dziadach“, w scenie z duchami (!), gdzie to widmo (widmo!) okrutnego dziedzica zjawia się w gronie mąk pośmiertnych... Jakże znamienne jest to umieszczenie realnej sprawy społecznej — w czwartym wymiarze! Obok „pasterki“, co „motylka różeczką goni...“

Twierdzę, że poezja romantyczna nigdy i nigdzie nie podniosła sprawy chłopskiej z pasją i siłą,

na jakie stać ją było, a jakich wymagało ogromne ów-
czesnie brzemie tej sprawy.

Wiemy, dlaczego tego nie uczyniła i dlaczego uczy-
nić tego nie mogła. Równie dobrze wiemy dlaczego
my, dzisiejsi, musimy za nią odrobić tamtą „czarną
robotę“. A czyniąc to, musimy ostro przeciwsta-
wić się jej sugestiom.

Takie właśnie znaczenie ma „Kordian“ w tytule mo-
jej powieści.

Do tej teatralnej sali wchodzi się wprost z ulicy. Żadnego tam przedsionka czy korytarza, żadnego westybulu, jakie są w każdym „prawdziwym“ teatrze. Wprost z wyboistej, gliniastej ulicy wiejskiej otwierasz zwykle drewniane drzwi, przekraczasz wydeptany płaski próg i już jesteś w dużej, o nagich bielonych ścianach, surowej hali, jedynie pod sufitem przystrojonej girlandami wstęg z kolorowej bibuły.

Na odsłoniętej scenie syczy w górze wielka lampa żarowo-gazowa. Jej mocne zielonawe światło jaskrawo spływa na grupę szarych postaci ludzkich, skupionych pośrodku sceny dokoła rośłego, młodego mężczyzny, który właśnie, oparty na sztabie żelaznej...

Na sali jest o wiele mroczniej niż na scenie. Zielonawy brzask jako tako oświetla tylko parę pierwszych, nierównych rzędów krzeseł i prostych ław: głowa przy głowie obsiadło je ze trzy tuziny młodych dziewcząt. Reszta widowni jest pusta, rozpływa się w cieniach i mgle tytoniowego dymu, gdzie pod ścianami w głębi stoją i siedzą tu i ówdzie postacie męskie, z jarzącymi papierosami w rękach, gwarzą szeptem lub patrzą w milczeniu ku scenie.

A tam właśnie młody, barczysty człowiek, oparty na sztabie żelaznej, twardym nateżonym głosem wyrzuca z piersi szorstkie, zwięzłe słowa:

„I że gdzie pójdziesz w ten kraj, czy się obrócisz ku północy, czy ku południowej stronie, wszędzie napotkasz

takich samych jako Czartkowski panowie i taką samą wszędzie chłopską nędzę i uciemżenie, niewolę i wyzucie z praw! Choćbyś ta zaszedł i na Wołyń daleki, skąd ja, ludzie kochani, lat temu prawie cztery dziesiątki spod pańskich batów uciekłem...”

Ten człowiek, to — pamiętacie może? — kowal Derkacz. Szare postacie, otaczające go na scenie, to chłopcy pańszczyźniane z Brodni. A wszystko razem, co się tu dzieje w świetle syczącej nad sceną lampy żarowej, to próba „generalna“ z „Kordiana i chama“ w Domu Ludowym w Markowej, pow. przeworskiego.

Próba generalna przed występem — nie byle gdzie! — w „samym“ Przemyślu.

Występ ten nie będzie zresztą premierą. Zespół teatralny markowskiego Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici“ ma już za sobą cztery spektakle „Kordiana i chama“; trzy na miejscu, w Markowej, jeden — w powiatowym Przeworsku. Wszystkie odbyły się pół roku temu, w zimie. A teraz — teraz jest połowa czerwca. Pilny czas sianokosów. „Aktorzy“ do ósmej wieczór, póki słońca, pracują przy sianach. Więc próba zaczyna się dobrze po dziewiątej i potrwa — chyba gdzieś do drugiej w nocy. Ostatnia próba przed niedzielnym występem w przemyskim Domu Robotniczym.

Próba „z udziałem autora“.

Czy wiecie, co to znaczy zrealizować w warunkach wiejskich czterogodzinny przeszło montaż teatralny, wymagający ponad 50 osób zespołu, 13 zmian scenerii, mnóstwa kostiumów historycznych, oraz — sprzęzystej i wytrawnej, pomysłowej reżyserii? Czy zdajecie sobie sprawę z wielkości wielorakiego wysiłku, jakiego wy-

maga przedsięwzięcie tak bardzo nowe na wiejskim terenie, tak bardzo — powiedzieć można — nowoczesne, tak bardzo różne od dotychczasowej tradycji naszych scenek wiejskich, tradycji owych „Błażków opętanych“, „Żydów w becce“, „Zagród Sobkowych“ i „Chłopów arystokratów“, sztuczudelek, stanowiących do wczoraj jeszcze „żelazny kapitał“ repertuaru „ludowego?“

Mówi mi o tym Mieczysław Flejszar, reżyser teatru markowskiego, jego ambitny, zdolny i niewyczerpanie energiczny organizator i kierownik.

— Teraz, wiecie, to jeszcze pół biedy: tych kilka prób przed wyjazdem do Przemyśla. Ale zeszłej jesieni i z początkiem zimy mieliśmy tu całe tygodnie harówki. A nie zapominajcie, że aktorzy nasi to w większości ludzie ciężkiej, chłopskiej pracy. Mimo to znajdują w sobie jeszcze dość werwy, ochoty i zapału, aby w najtrudniejszych warunkach tworzyć tu ten nasz społeczny, młodowiejski teatr. Bo warunki są rzeczywiście bardzo trudne. Ot, na przykład: widzicie tego młodego człowieka pod ścianą? To jeden z najlepszych naszych aktorów. Mieszka w sąsiedniej wsi, w Wysokiej, stąd od nas prawie półtorej mili. Każda próba kosztuje go — w obie strony licząc — bez mała 20 kilometrów pieszej drogi. I to nocą, przeważnie polnymi ścieżkami. No więc, wyobraźcie sobie, jak te „spacery“ musiały wyglądać jesienią i w zimie! A prób robiliśmy wtedy ze trzydzieści... Na szczęście, duch w naszej gromadzie dobry. Przy tym, nie pracujemy dla jakiejś bezimiennej publiczności, jak to przeważnie teatry po miastach. Nasza publiczność, to prawie wyłącznie chłopi, miejscowi i okoliczni. Zimą, jak wiecie, graliśmy „Kordiana i chama“ w Przeworsku. Tamtejsza mieszczaneria zbojkotowała przedstawienie,

ale za to chłopstwo wybiło salę tak szczelnie, jak tylko się dało, z górą 600 głów. Piechotę i furmankami, choć plucha w ten dzień była jak na złość obrzydliwa, zgarnęli się ludziska z wiosek okolicznych. I to jest nasza największa satysfakcja: świadomość, że jesteśmy naprawdę przydatni, że zaspokajamy bardzo realne, mocno już rozbudzone potrzeby, że znajdujemy w masie ludowej szczery i żywy oddźwięk dla naszych poczynąń.

Zamyślam się. Bo rzeczywiście, jest się nad czym zastanowić. Na wsi polskiej dzieją się rzeczy, o których w miastach wie się tak mało, lub nie wie się wcale... Ot, chociażby ten teatr w Markowej. Młodzież, która go tworzy, daleko za sobą zostawiła dzień wczorajszy. Jej praca, to już nie jest ta uboga myślą, pusta i bzdurna, przygodna zabawa w „kumedyje“, jaka przez tyle lat wczorajszego „patronackiego“ okresu pracy kulturalno-oświatowej na wsi była jedyną formą zaspokajania, czy może raczej okpiwania, „oszwabiania“ teatralnych potrzeb chłopca. To już wyjście — raz na zawsze — z opłotków bezmyślnego dreptania i przytupywania w miejscu — na szeroki, twardy i trudny gościniec samodzielnego kształtowania świadomości kulturalnej w masie chłopskiej. To już nie prostaczkowate konsumowanie odpadków z pańskiego stołu oficjalnej twórczości, owych sztuczek „ludowych“, produkowanych przez dobrych wujaszków literatury — ale ambicja budowania własnej, pełnowartościowej sztuki, powiązanej spoistymi nićmi z losami, z życiem, z dążeniami wsi dzisiejszej i — jutrzejszej.

Wczesny czerwcowy świt szarzeć zaczyna w oknach sali, kiedy kończymy tę próbę. Trzy tuziny młodych

dziewcząt, które uczestniczyły w niej w charakterze „publiczności“, podnoszą się z krzeseł i ław. To słuchaczki kursu żeńskiego z Uniwersytetu w Gaci, wsi graniczącej przyjaźnie z Markową. Otulają się w płaszcze i szale, żegnają się, wychodzą gromadkami. Mają przed sobą przeszło 4 kilometry drogi na „górze“ gacką, gdzie siedzi Uniwersytetu. Nie pośpią dzisiaj zbyt wiele. O siódmej rano będą już w świetlicy na wykładzie...

Ba, ale są tu i tacy, co wcale dzisiaj spać nie będą. Na pustej i przyciemnionej scenie „sztab“ zespołu odbywa jeszcze walną, ostatnią naradę. Dwaj młodzi najdalej za godzinę wyjadą rowerami do Przemyśla. Bagatela! 50 kilometrów szosą... Muszą być w mieście przed południem, aby załatwić jeszcze przeróżne formalności, związane z niedzielnym występem.

A reszta?

Reszta za kilkanaście godzin wyruszy na noc czterema drabiniastymi wozami, wymoszczonymi słomą. Oto mi będą współczesne pojazdy Tespisa! Wiejski teatr, ciągnący taborem 7 mil do dużego miasta — przyznacie, że to u nas dość niezwykle wydarzenie...

„Sztab“ jeszcze przez parę kwadransów omawia szczegóły „wyprawy“. Jest o czym myśleć: ludzie, dekoracje, rekwizyty... Ach, gdyby mieć do dyspozycji choć jeden obszerny autobus!

Gdyby...

Ileż gorzkich refleksyj nasuwa mi się, gdy z boku obserwuję tę gromadkę naradzających się młodych ludzi, pełnych talentów i zapału, a mających na każdym kroku tyle trudności do pokonania! Tak bardzo zdanych wyłącznie, wyłącznie na siebie!

Choć kto wie, może właśnie dlatego są oni pokole-

niem, pierwszym chłopskim pokoleniem w Polsce, które już nie potrzebuje „patronów“ i „opiekunów“, pokoleniem, samodzielnie stającym do wielkich swych zadań: przebudowy życia polskiej wsi. Może dlatego właśnie tyle w nich ambicji i godności, zaufania do własnych sił, śmiałości myślenia i działania. Może dlatego właśnie tak bardzo są inni, tak bardzo odmienni od swoich przodków, chłopów pańszczyźnianych z doby „Kordiana i chama...”

Tak bardzo nowi i tak gotowi do odegrania większej znacznie, ważniejszej roli, niż role Deczyńskich i Adamusów, których z głębokim odczuciem grywają dzisiaj na scenie swego młodowiejskiego teatru!

Kiedy około drugiej w kilkoro wychodzimy z budynku Domu Ludowego, szarzeje już nad ziemią wczesny letni brzask. Chłód nadranny zaciąga od łąk, pachnących sianem. W dole uśpiona wieś: domostwa, sady, szosa... Idąc powoli, gwarzymy przyciszonymi głosami.

Nagle spostrzegam coś, co na moment wstrzymuje mi kroki. Daleko, na wyniosłości horyzontu, gdzie wschodnia strona-nieba objęta już białymi smugami świtania, płonie spokojnie mocne wyraziste światło. Niżej siwe, leciutkie pasemka mgły... Wygląda to, jakby tam w białym fantastycznym morzu stał na kotwicy wysoki, tajemniczy okręt.

To góra gacka. Dom Wiejskiego Uniwersytetu. Snać dziewczęta doszły już na miejsce i na chwilę wznieciły światła w sypialniach.

Długo patrzę, olśniony niespodziewanym zjawiskiem. Ależ to jest jak wizja niematerialna, wyczarowana nagle

z łona nocy! Wizja, przejmująca do głębi konkretnością swojej prawdy.

Świećcie, światła na górze gackiej! To wy, to wy z wysoka jesteście śmiałą lampą, zapaloną o wczesnym świtaniu nad rozległą chłopską okolicą. To wy, pomiędzy niebem i ziemią, czuwające jak okręt wysoki, w nad-rannej godzinie, pełnej jeszcze złych cieniów, dołami przytających.

Przez was i dla was — dzień jutrzejszy wsi.

Miarą upadku życia literackiego w Polsce dzisiejszej — upadku, wcale nie dziwnego na tle warunków politycznych, w jakich żyjemy — jest fakt, że od pewnego czasu zjawiskiem, które najbardziej animuje u nas i porusza tzw. opinię warstw kulturalnych, stała się kwestia — p l a g i a t ó w. Nie jakieś wielkie, istotne zagadnienia, ideowe czy artystyczne, nie żadna problematyka, godna ważności czasów, ale właśnie: plagiaty, plagiaty... Istna psychoza tropienia i „demaskowania“ „plagiatorów“, najczęściej zresztą z pobudek zgoła pozaliterackich, najskorzej w rozwydrzeniu walki politycznej. W procederze tym, jak wiadomo, specjalizuje się prasa pravicowa, przy czym tropicielstwo literackie jest dla niej tylko fragmentem ogólniejszego „systemu“ zwalczania przeciwników za pomocą oszczerstw i denuncjacji. Kilka głośnych ostatnio spraw „plagiatowych“ wytoczono przecież na niezbyt wonnych łamach tej wyłącznej prasy. Mógłby ktoś tutaj odpowiedzieć, iż nie jest to wcale winą pravicowych publicystów-wyżłów; widocznie wszyscy literaci „plagiatorzy“ grupują się akurat — po drugiej stronie barykady... Odpowiedź taką trudno byłoby uznać za rzetelną. Chodzi tu raczej — najzwyczajniej — o różnicę metod walki. Nie byłoby znów tak wielką trudnością znaleźć i „zdemaskować“ z tryumfem jakiegoś „plagiatora“ wśród pisarzy pravicowych, zwłaszcza przy zastosowaniu takich „chwytów“, jakimi w analogicznych wypadkach operują publicyści z „Orę-

downików...". Żaden z tych panów nie przypuszcza na przykład, że — za pomocą wzmiankowanych „chwytów” — można by zarzut „plagiatu” w sposób wręcz „druzgocący” postawić i „udowodnić” — samemu K. H. Rostworowskiemu!¹ Jeżeli tego nikt nie czyni, to jest to tylko, powtarzam, kwestia różnicy metod walki.

Ale zostawmy na boku rolę „plagiatomanii” jako aktualnie ulubionego środka w rękach harcówników politycznych. Chciałbym tu raczej naszkicować pewne myśli ogólniejsze, dotyczące samego zjawiska „plagiatu”, jako zagadnienia, interesującego nie tylko z punktu widzenia psychologicznego i kulturalnego, lecz również i socjologicznego. Być może, myśli te wydadzą się — szczególnie ludziom pióra, twórcom, pisarzom — nieco paradoksalne i ryzykowne, być może nawet spotkają się z gorącymi protestami. Chodzi mi jednak o przewietrzenie pewnych zastałych pojęć, o poruszenie nałogów myślowych, od których nie są wolne także umysły ludzi, widzących pono swą funkcję społeczną w przeciwdzia-

¹ Mówię o „Niespodziance”. Skądinąd wiadomo, mianowicie z wyznań samego autora, iż pomysł tego dramatu zaczerpnął Rostworowski z autentycznego zdarzenia życiowego, opisanego bodaj w kronice gazety. Istnieje jednak sztuka pt. „Fatalna ciekawość” Jerzego Lillo, dramaturga angielskiego z początku XVII wieku: cała treść, fabuła, główne postaci i sytuacje tej sztuki są po prostu frapująco takie same jak fabuła, postaci i sytuacje „Niespodzianki”. Zestawienie obu utworów byłoby nie lada gratką dla kogoś, kto chciałby uderzyć w Rostworowskiego zarzutem „plagiatu”, dla jakiegoś, powiedzmy, lewicowego Stanisława Piaseckiego, gdyby taki istniał... To nic, że Rostworowski najprawdopodobniej nie czytał nigdy sztuki Lillo, że, jak wspomniałem, pomysł „Niespodzianki” zaczerpnął wprost z „życia”; dla ludzi, nie gardzących żadnym środkiem w „ubijaniu” przeciwników politycznych, sprawa o „plagiat” byłaby tutaj w każdym razie „do zrobienia”.

łaniu wszelkim zastojom ducha, wszelkim bezwładom i skrzepom pojęciowym.

Nasamprzód jednak ustalmy: jaki uczynek literacki można określać mianem „plagiatu”? W pewnej dyskusji powiedział raz Irzykowski, iż plagiat w sferze treści i myśli jest rzeczą niemal nieuniknioną. Uważam to zdanie za słuszne przynajmniej o tyle, że przecież wszelka twórczość duchowa możliwa jest jedynie jako nieustanna kontynuacja, ciągle rozwijanie i supłanie pewnych, mniej lub więcej uniwersalnych wątków, niekiedy zgoła bezpańskich, o pochodzeniu trudnym do ustalenia. Słusznie też zauważyła, w innej znów dyskusji, Aniela Gruszecka-Nitschowa, iż jeśli chodzi o treści i myśli, wytworzone w naszym, kilka tysięcy lat liczącym cyklu kulturalnym, to krążą one dokoła nas w atmosferze gęściej i zaraźliwiej, niż bakcyle. Toteż wydaje mi się, iż zagadnienie plagiatu może być rozważane tylko w zakresie formy, wyrazu, „opracowania”, czyli ukształtowania elementów treściowych w pewien oryginalny sposób.

I w tym zakresie jednak konieczne są rozróżnienia. Kwestia korzystania ze źródeł, opracowanych formalnie (pamiętniki, listy, relacje), przedstawia się inaczej jeśli chodzi o utwór „historyczny”, inaczej zaś jeśli o „współczesny”. W pierwszym wypadku najbardziej dosłowne, literalne użytkowanie takich źródeł trudno uważać za plagiat; autor chce być jak najwierniejszy prawdzie historycznej, a nie ma przecież możliwości dotarcia do niej osobiście, bezpośrednio; zresztą nie chodzi tu jedynie o wierność faktograficzną, lecz w większym bodaj stopniu także o kwestię nastroju, kolorytu, stylizacji językowej — najszcześniejsza nawet intuicja nie

zastąpi w tym względzie autentyków. Inaczej z utworami o tematyce „współczesnej“. Tu autor sam ma możliwość dotarcia do faktów, o których pisze, albo też otrzymania o nich relacji „surowej“ (opowiadanie zasłyszane w „terenie“, relacje świadków zdarzenia itp.). W przetwarzaniu tej wersji „surowej“ na własną wersję artystyczną obowiązuje już bezwzględnie oryginalność formy, nawet przy najbardziej reportażowym traktowaniu tematu.

Tak więc, powtarzam, zagadnienie „plagiatu“ (pomijając wspomnianą odmienność kryteriów przy tematyce historycznej) powinno być rozumiane jedynie tylko jako zagadnienie nie treści, lecz formy, nie sensu lecz wyrazu, nie zawartości myślowej, lecz jej kształtowania.

Jak wiemy jednak, rzeczywistość nasza w tej dziedzinie wygląda zupełnie inaczej. Pojęcie własności literackiej jest dzisiaj niezmiernie rozległe, a przyjęte w tej mierze kryteria (jeśli już nie prawne, to w każdym razie moralne) są tak rozciągle i pojemne, że można w nich pomieścić pretensje i zarzuty najoczywściej nawet bezsensowne. Wynika to — i tu jest rzecz ogromnie ważna, a tak bardzo zapoznawana — z tego samego charakteru produkcji literackiej i w ogóle kulturalnej (jak wszelkiej zresztą produkcji) w naszym ustroju. W społeczeństwie o ekonomice kapitalistycznej także wartości idealne, dzieła talentu czy „natchnienia“, twory ducha, podlegają w swojej społecznej egzystencji ogólnym prawidłom ustrojowym. Tytuł własności literackiej w bardzo rozległym pojęciu jest tak strzeżony prawnie jak znak fabryczny, etykieta czy opakowanie jakiegokolwiek, choćby najgrubiej użytkowego produktu, mydła czy konserwy mięsnej.

Jakże daleko odeszliśmy w tym względzie od obyczaju epok przedkapitalistycznych! Pojęcie *p r a w a u t o r s k i c h*, takie, jakim dziś powszechnie operujemy, nie było znane ani w starożytności, ani w średniowieczu, ani nawet w dobie romantyzmu, na progu zeszłego stulecia, czyli już w epoce narodzin kapitalizmu. Szekspir, a więc dramaturg nie byle jaki, gdyby żył i tworzył dzisiaj, prawdopodobnie pisywałby tylko w przerwach między niezliczonymi procesami o „plagiaty“, choćby nawet tak wybitne jak „Hamlet...“. W literaturze polskiej klasycznym „złodziejem literackim“ był właśnie klasyk naszej komedii, Zabłocki, którego wszystkie utwory, nie wyłączając „Sarmatyzmu“ (!), są bądź tłumaczeniami, bądź przeróbkami komedii współczesnych mu autorów zagranicznych. Wiadomo też, ile Słowacki brał „żywcem“ z Szekspira, wiadomo, że Mickiewicz czerpał niektóre wątki balladowe dość ściśle z literatury niemieckiej (patrz np. „Świtezianka“ i „Der Fischer“ Goethego), a „Ode do młodości“ nazwał jeden z przyjaciół poety „córką chrzestną Schillera“.

Przykłady powyższe (a można by, wiadomo, znacznie pomnożyć ich liczbę), dowodzą, jak bardzo swobodnie i niefrasobliwie zapatrywano się w owych epokach na prawo własności literackiej. Niczego tu nie zmienia fakt, iż *teoretycznie* problemem naśladownictwa w literaturze zajmowano się od najdawniejszych czasów, od Arystotelesa do Lessinga. W praktyce pisarskiej pojęcie „plagiatu“ w sensie dyskryminacji prawnej czy etycznej właściwie jeszcze nie istniało wcale. Zrodziło się ono, powtarzam, dopiero w warunkach ustrojowych społeczeństwa kapitalistycznego. Zrodziło się na gruncie prostego faktu *uhandlowienia się konsumpcji*

kulturalnej, jako nieodpartej konsekwencji ogólnych właściwości ustroju. Miejsce dawnego feudała-mecenasa, rzucającego sakiewki poetom-dworakom i miejsc wesołych oberż, zawsze otwartych gościnnie dla plebejskich poetów-wagabundów, zajął tzw. rynek, „rynek wydawniczy“. Ta oschła i niepokojąca kategoria ekonomiczna oznacza, że dzieło sztuki: książka, dramat, stało się towarem. Tym samym „twórca“ przeobraził się w „producenta“.¹ Z równie nieuchronną logiką uformowało się w rezultacie prawo autorskie, prawo własności literackiej, najbardziej zbliżone — jeśli chodzi o porównanie — do prawa ochrony „patentowej“ wszelkiego rodzaju pomysłów i wynalazków natury np. technicznej. W ten sposób zjawilo się zaraz pojęcie „plagiatu“ jako przestępstwa w stosunku do cudzej własności literackiej; pojęcie, trudne co prawda do prawniczego sprecyzowania w wielu konkretnych wypadkach, ale za to obdarzone wielką rozciągłością w znaczeniu bodaj moralnym. Pojęcie to, początkowo związane rzeczywiście tylko z formą dzieła, z jego tekstową oryginalnością, rozszerzyło się z czasem także na elementy treściowo-myślowe.

Zapewne, chodziło tutaj w zasadzie o ochronę egzystencji twórcy poprzez ochronę jego pracy. Odkąd tworzenie literackie stało się fachem, zawodem, albo co naj-

¹ Nie chciałbym być źle zrozumiany. Twórca pozostał oczywiście nadal twórcą w zakresie samej swojej pracy; w skórę „producenta“ przedzierzga się w momencie, kiedy z gotowym dziełem wychodzi na „rynek“ (przy czym uchwytną istotą „rynkową“ bywa, rzecz jasna, wydawca, dyrektor teatru albo redaktor pisma, płacącego honoraria). Najbardziej idealnym, „czystym“ typem „twórcy“ jest w społeczeństwie kapitalistycznym tzw. grafoman.

mniej przygodnym źródłem uzyskiwania zarobków — interesy twórców musiały ulec jakiemuś prawnemu obwarowaniu. Nasuwa się jednak pytanie: jak ta sprawa przedstawia się z punktu widzenia interesów — jeśli tak można powiedzieć — samej literatury? Jak ona się przedstawia zwłaszcza wobec — przypominam — żywych tendencji rozszerzania owych rygorów prawnych poza granice formy, a więc w zakresy treściowe?

Otóż wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z dosyć ciekawą k o l i z j ą „interesów“. Bo wyobraźmy sobie: może się zdarzyć, że pewien autor poweźmie doskonały pomysł utworu, lecz w wykonaniu stworzy rzecz słabą lub co najwyżej mierną; inny autor mógłby jednak przejąć ten sam pomysł, zużytkować nawet dość podobnie jego elementy, lecz za to związać je o wiele lepiej czy ciekawiej, dać dzieło pełnowartościowe. Literatura — niewątpliwie! — tylko zyskałaby na tym, czytelnik, społeczeństwo, mieliby rzetelną satysfakcję. Biała jednak autorowi, który odważyłby się uczynić coś podobnego! Zaskarżony przez „poszkodowanego“ kolegę, mógłby nawet ewentualnie wygrać sprawę przed sądem, gdyby bezstronni rzeczoznawcy orzekli, iż — mimo wszystko — stworzył rzecz odrębną, oryginalną i znakomitą; ale i w tym wypadku zarzut „plagiatstwa“, przynajmniej w sensie moralnym, na długo przylgnąłby do niego w świadomości tzw. „opinii“. Ba, a gdyby tak jeszcze chodziło o pisarza „drażniącego“ pod względem politycznym czy ideowym — dopieroż miałby on się z pyszna!

Sądzę, że z przytoczonym wyżej fikcyjnym przypadkiem moglibyśmy w życiu mieć do czynienia częściej niż przypuszczamy — gdyby nie nasze dzisiejsze, tak roz-

ygorystyczne, a tak głęboko zakorzenione (prze-
tkim wśród samych twórców) pojęcie własności
i rzekomo wynikających z niej uprawnień
terze „patentowym“ czy „monopolistycznym“.¹
wnież, że pojęcie to, chociaż nawet trudne do
wania w normach prawnych, ale za to potężnie
wane w niepisanym kodeksie obyczaju — jest
nikiem h a m u j ą c y m rozrost, rozwój i bo-
ię samej literatury.² Dotykamy tu kwestii w o l-
t w o r z e n i a, nie tej mieszczańskiej, „wolno-
cyjnej“, która właśnie prowadzi do monopo-
tentów, ale wolności prawdziwej, wynikającej
nego upowszechnienia, uspołecznienia dóbr
ei idealnych. Tej wolności, dla której nie
lecz „c o?“ i „j a k?“ stanowi najistotniejsze
n. Trudno nie wspomnieć tutaj, iż wielkość

sem mówiąc, na tym punkcie prawnego zawłaszczania
orzonych przez się dóbr idealnych najwięcej wrażliwości
bisarze mierni, trzeciorzędni. Im rzadziej zdarza się im
te ziarno problemu czy pomysłu, tym zapalczywiej
pieniaczyć się o prawo swej wyłączności w użytkowaniu
a. Odwrotnych wypadków bodaj nie zna historia litera-
yło dotąd, zdaje się, zdarzenia, by jakiś wielki, znakomity
zynał sprawę o plagiat któremuś ze swoich mniej znako-
legów, chociaż — otwarcie mówiąc — im wybitniejszy
n bogatszym jego twórczość źródłem, z którego czerpać
mniej wybitni...

elniejszej postaci objawia się tutaj to samo, co znane jest
z dziedziny twórczości utylitarnej np. technicznej: ileż
nych wynalazków, dzięki ochronie patentowej, wcale nie
życie, jeśli realizacja któregoś z nich zagrażałaby intere-
czy innej branży produkcyjnej (typowa np. historia
iem „wiecznej zapalki“, zakupionym i „unieszkodliwio-
z zainteresowane koncerny przemysłu zapalczanego).

i wspaniałość gotyku związana była w jakiś tajemniczy sposób z bezimiennością jego twórców. Przez uniwersalizm jedynie prowadzi droga do nowego *personalizmu*, który nie będzie miał nic wspólnego z ciasnym mieszczańskim indywidualizmem.

Wolność tworzenia! Jakże boleśnie jest ona dziś oprymowana! Nie tylko z zewnątrz, pasami i kneblami ucisku politycznego, ale w niemniejszym stopniu także od wewnątrz, przez narzucony właściwościami ustroju obyczaj, przez moralność mieszczańskiego *komercjalizmu* w sferze ducha. A przecież wszyscy, wielcy i mali twórcy, żyjemy dzisiaj z potężnej schedy skarbów myśli, skarbów kultury, wypracowanych przez minione wieki; tej schedy, o której nikt z nas powiedzieć nie może: „to moje“, lecz za to wszyscy zawołać musimy: „to nasze“. Przyszły, jutrzejszy rozkwit sztuki i literatury, którego wszyscy pragniemy, możliwy będzie dopiero po przełamaniu wielu dzisiejszych nałogów pojęciowych, wielu fetyszów współczesnych, z własną ościowym fetyszem na czele.

W literaturze tylko praca, żmudny trud formy, kształtowania tworzywa, powinien być jedynym, niezaprzeczalnym tytułem oryginalności i wynikających z niej uprawnień. Ono samo, tworzywo: substancja treści i myśli, nie może ulegać żadnej monopolizacji, żadnej handlowo i prawnie zastrzeżonej wyłączności, żadnemu prywatnemu zawłaszczaniu.

Zastrzegam się: nie chodzi mi tu o jakąś pochwałę plagiatu czy wręcz o zalecanie metod „kradzieży literackiej“; chciałem jedynie otworzyć pewne, bodaj nieuwzględniane dotąd aspekty sprawy, która — tłamszona aż nazbyt często, wśród pogwizdywań kołtunerii, w nie-

powołanych łapach macherów gazeciarskich — w gruncie rzeczy zawiera w sobie przecież jądro problemu istotnego i niebłahego, godnego rzetelniejszych i bardziej płodnych rozważań.

h. inv. 2110.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wych.

T R E Ś Ć :

	Str.
Wzdłuż, nie w poprzek dziejów	5
U źródeł nacjonalizmu	18
Bezdroża nacjonalizmu i socjalistyczne ideały	25
Powieść o prawdzie ONR-u	37
Dulszczyna „robi historię“	45
W klimacie dyktatury	51
Na wiedeńskiej fali	61
„Lud“ i „naród“	68
Obrona „Kordiana i chama“	76
Na próbie	94
Spoleczne aspekty plagiatu	101

Prace publicystyczne zawarte w tym zbiorze powstały w latach 1934—1938 i drukowane były w czasopismach: „Dziennik Ludowy“, „Epoka“, „Lewy Tor“, „Robotnik“, „Sygnały“, „Wiadomości Literackie“.

WYDAWNICTWA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„C Z Y T E L N I K”

Kraków, Sławkowska 12, III p.

1. Prof. Z. Mysłakowski: „Totalizm czy kultura“.
str. 84, cena 1 zł.
2. I. Fik: „Rodowód społeczny literatury polskiej“.
cz. I., str. 143, cena 80 gr.

W p r z y g o t o w a n i u:

- Prof. B. Malinowski: „Człowiek a społeczeństwo“.
Stan. Thugutt: „Listy do młodego przyjaciela“.
I. Fik: „Rodowód społeczny literatury polskiej“.
Cz. II.
„Swastyka w Polsce“. Zbiór prac.

Cena wydawnictw w prenumeracie wynosi:

- kwartalnie (3 książki) — 1 zł 80 gr, z przes. — 2 zł.
półrocznie (6 książek) — 3 zł 50 gr, z przes. — 4 zł.



6049/

11